Nr. 10. Warszawa, dnia 21 Lutego (5 Marca) 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Administracyi.

Szan. abonentów kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty. Ponieważ wielu prenumeratorom, którzy przybyli w ciągu lutego, nie mogliśmy dostarczyć wyczerpanych numerów styczniowych **Prawdy**, *donosimy przeto, że numery te (1, 2, 3, 4, 5, 6) nabywamy od pragnących je sprzedać po cenie zwykłej (20 k.)*

POLITYKA.

Rozstrój Austryi.

Austrya przedstawia w chwili obecnej obraz zupełnej zawieruchy politycznej. Rozporządzenia językowe hr. Badeniego rozkiełznały namiętności, które nie prędko się uspokoją. Komuś, niewtajemniczonemu w stosunki wewnętrzne monarchii habsburskiej, rozgardyasz obecny i źródła jego mogą wydać się niezrozumiałymi. W ostatecznym rezultacie treść okólników byłego rządu sprowadza się do tego, że kilkuset urzędników Niemców, zajmujących posady w obrębie Czech, ma w dalekiej przyszłości rozumieć po czesku. Uskuteczniona reforma jest tak drobna, iż na razie rozpaczliwy opór Niemców jest wprost dziwny. Wprawdzie dokonano jej na drodze rozporządzeń ministeryalnych z obejściem parlamentu; i to jest prawdą, iż były namiestnik Galicyi, przyzwyczajony do samowoli biurokratycznej za rządów swoich we Lwowie, wniósł do Wiednia zachcianki bardzo niekonstytucyjne. Ale Austrya jest wdrożona do wybryków tego rodzaju i nauczyła się cierpliwości. Wyjaśnienia gwałtownego wybuchu namiętności politycznych trzeba szukać głębiej, rozporządzenia językowe były tylko sztandarem, pod którym raczej, niż o który walczono.

Położenie wewnętrzne Austryi oraz drogi wyjścia wywołały obfitą literaturę broszurową. Z pewnymi poglądami, mniej znanymi, postanowiliśmy zapoznać czytelników.

Rozgardyasz austryacki tkwi nie w naturze idei narodowościowej, ale w starożytnym ustroju monarchii habsburskiej, w jej feodalnych i drobnomieszczańskich rysach. Jedyne wyjście — to zrzucenie tej szaty, nieodpowiadającej duchowi czasu. Przedlitawia stanowi zlepek państw i państewek, które znalazły się w połączeniu dzięki związkom małżeńskim — *tu felix Austria nube.* Józef II pierwszy usiłował stworzyć spójnię jednolitą, powołując do życia nowoczesną organizacyę administracyjną. Dostała się ona w ręce Niemców, żywiołu nietylko najpostępowszego naówczas, ale jedynego, który mógł zrozumieć i bronić idei jedności państwowej. Urzędy, wojsko, policya, słowem cały nowoczesny rynsztunek państwowy stał się niemiecki i Niemcy zamienili się na grupę uprzywilejowaną pod każdym względem, uciskającą odtąd wszelki budzący się ruch narodowy, bo każdy prąd tego rodzaju podważał stanowisko żywiołu przewodzącego w państwie. Mieszczaństwo niemieckie z konieczności przybiera charakter dwulicowy. Broni ono haseł liberalnych, o ile chodzi o niemczyznę, lecz staje w obronie wyzysku, gdy rzecz dotyczy Słowian, Włochów itd. Chociaż liberalne, spogląda ono nie w przyszłość, lecz w przeszłość — stosunki, stworzone przez Józefa II, są ideałem jego dążności. Imię tego monarchy jest dla niego nietylko pamiątką narodową, ale także hasłem programowem. I ten wsteczny kierunek polityki mieszczańsko - niemieckiej ujawniał się coraz bardziej w miarę tego, jak inne ludy korony habsburskiej coraz energiczniej zaczynały domagać się równouprawnienia. W r. 1848 mieszczaństwo niemieckie usiłuje zwalić system rządów Metternichowskich, za ich przykładem poszły inne ludy. I cóż się okazuje? Liberalni niemieccy, podczas zjazdu słowiańskiego w Pradze, żądają od ks. Windischgrätza sprężystych czynów przeciw Czechom i przyklaskują bombardowaniu Pragi. „Nietylko w kościele św. Pawła we Frankfurcie — pisze pewien historyk — ale i w parlamencie wiedeńskim Windischgrätz uchodził za mściciela niemieckiego, karzącego Czechów!“ Ten sam generał niebawem pomaszerował przeciw Wiedniowi, i Czesi, do których niedawno strzelano, wieńcami ubrali armaty, udające się przeciw Niemcom... Kartka ta dziejów powtarza się niejednokrotnie w Austryi, liberalizm niemiecki, umiejący odezwać hasła swobody i równości, zapominał o nich, gdy chodziło o wyzyskiwane ludy, ucisk zaś kulturalny był tam szatą, osłaniającą korzyści materyalne. Lecz życie robi swoje, naród po narodzie wyswabadza się z pod władzy ekonomicznej i politycznej żywiołu niemieckiego. Dzisiaj walka zośrodkowała się w Czechach, najzamożniejszej dzielnicy państwa habsburskiego. Przegrana, poniesiona w tym kraju przez Niemców, odbierze im resztki dawnej przewagi w całem państwie — naprzód politycznej, później zaś ekonomicznej.

Niemcy występują w imię haseł czasów ubiegłych, wzory stworzone przez Józefa II-go, nie zaś dzisiejsze potrzeby państwa stanowią zasadnicze ich hasło. I główni ich przeciwnicy obecni, Czesi, również są zapatrzeni w przeszłość.

Czesi w chwili rozbudzenia agitacyi narodowej składali się z włościan i rzemieślników, oraz z nieznacznego zastępu warstwy najemnickiej. Ruch narodowościo-

wy w takich warunkach musiał tam odrazu przybrać charakter demokratyczny, demokratyczniejszy, niż dążenia mieszczaństwa niemieckiego i szlachty polskiej lub węgierskiej. Ale właśnie dlatego, że opiera się na żywiołach drobnomieszczańskich, odznacza się on większą niestatecznością i sprzecznością haseł. Drobnomieszczanin jest uosobieniem przeciwieństw, tkwiących w jego stanowisku ekonomicznem. Jego warunki bytu zmuszają go do pojęć demokratycznych i w państwie, w którem tyle pozostało szczątków feodalizmu i samowoli biurokratycznej, z konieczności jest on pierwiastkiem opozycyjnym. Lecz rozwój nowoczesnych potęg wytwórczych zagraża mu ruiną i zniewala go do spoglądania w przeszłość, zamienia go znowu na wstecznika społecznego. Warstwa, z istoty swojej uposażona w takie sprzeczności, wzmaga je jeszcze bardziej w państwie, tak pełnem antagonizmów, jak Austrya. „Żaden z ruchów narodowościowych Europy — ktoś pisze — nie wyłonił tylu przeciwieństw, co czeski. Może jednocześnie on bronić, w zakresie polityki wewnętrznej, zasad najkrańcowszego demokratyzmu, w zewnętrznej zaś hołdować zgoła innym zapatrywaniom; może unosić się nad husytami i jednocześnie współdziałać z jezuitami; być najsilniejszą podwaliną wolności w państwie i spełniać obowiązki zbira w służbie niekonstytucyjnych wybryków; dzisiaj być winnym zdrady państwa, jutro zaś posuwać się do serwilizmu." Świetne czasy warstw drobnomieszczańskich przeszły niepowrotnie, cała teraźniejszość ekonomiczna każe im marzyć o tej przeszłości. Ale jeszcze i z innych powodów ruch czeski z konieczności spogląda w przeszłość. Jak słabym i poniżonym był naród czeski w okresie swego ocknięcia się i jaką przeszłość miał za sobą za czasów Przemyślidów! Idea prawa historycznego musiała zjawić się jako konieczny wyraz wybijającego się ludu, i na razie może było to hasło najpraktyczniejsze dla podniesienia żywotności nowego ruchu. Lecz jednocześnie wprowadziła ona dążności narodowościowe czeskie na manowce, bo rozwiązania istniejących zawikłań kazała im szukać nie w stosunkach teraźniejszości, lecz w przebrzmiałych i niemożliwych do urzeczywistnia wzorach czasów ubiegłych. Rozpoczynają się usiłowania nie w kierunku autonomii nowoczesnej, ale zaściankowości średniowiecznej i wraz z tem bękarci sojusz ze szlachtą feodalną czesko morawską. Ruch czeski wkroczył na tę samą drogę, co niemiecki, każdy z nich oparł się na minionych wiekach, na prawach historycznych i tylko zawikłał kwestyę, każdy z nich domaga się stosunków, które urzeczywistnione nie zniosą waśni rasowych, lecz tylko zdolne są je wzmocnić i rozjątrzyć.

I to samo spostrzegamy w innych dążnościach narodowościowych. Mamy więc w Austryi do czynienia z wielu prądami narodowościowymi, z których każdy zrodził się z potrzeb kultury nowoczesnej, rozwija się z jej wzrostem i dlatego jest siłą dziejową pierwszorzędnej doniosłości. Nie można ich lekceważyć, niepodobna przeszkodzić ich rozwojowi, lecz raczej trzeba dążyć do ich wyzwolenia. I jednocześnie te ruchy, tak związane z postępem kulturalnym, usiłują urzeczywistnić swe pragnienia w kształtach i formach prawno-politycznych, należących do przeszłości, pełnej partykularyzmu i stosunków minionych, i dążą tego dokonać przy pomocy gwałtów i wogóle środków, niezdolnych do wcielenia w życie pokoju narodowego. Rozwiązania, zaczerpnięte z arsenałów dawnych tytułów prawnych, nawzajem się krzyżują i każde z nich dokonane sprowadza tylko tę zmianę, iż ktoś, dotychczas uciemiężony kulturalnie, będzie kogoś w przyszłości uciemiężał. Liberalizm niemiecki w związku z demokracyą drobnomieszczańską czeską mogły były wprowadzić Austryę na tory zgoła nowe, tymczasem marnotrawią siły swoje w walce wzajemnej ku uciesze żywiołów klerykalnych i feodalnych. Austryaccy mężowie stanu umieli wyzyskać sytuacyę. Przed laty kilkunastu mieszczaństwo niemieckie zupełnie zbankrutowało i jedynie opozycya czeska broniła państwa przed wylewem wstecznictwa. Hr. Taaffe, ten *jobber* polityczny, usiłował ją przekupić, staroczesi dali się złowić na wędkę ustępstw, ale z pośród ludu czeskiego wydobył się nowy zastęp obrońców — młodoczesi. Opozycya tych żywiołów zmusiła Taaffego do wniesienia projektu reformy wyborczej i w dalszym ciągu spowodowała jego upadek. Następcy tego polityka pojęli, że na przekór Czechom rządy są niemożliwe, przykład zaś hr. Badeniego dowiódł, iż i bez Niemców normalny bieg państwa jest trudny. Statyści austryaccy znaleźli się w położeniu z którego wyjść nie mogą i nie wyjdą, póki będą rozwiązywali zawikłania środkami, opartymi na podstawach przeszłości. Hr. Badeni wyrósł na bohatera — w sposób dla mnie niezrozumiały. Wziął się do rozwiązania złożonych stosunków Austryi, obdarzony tylko żelazną pięścią. Można byłoby mu jeszcze darować chęć załatwienia sprawy na drodze niekonstytucyjnej okólników ministeryalnych, gdyby treść ich była istotnie doniosłą, postępową. Lecz rozporządzenia językowe ani na krok nie posuwały dalej rozwiązania, nie przyspieszały pokoju, tj. równouprawnienia narodowego, choć rozpalały wszelkie namiętności. Tu trzeba było zerwać z zasadą wszelkiego prawa historycznego, niemieckiego i czeskiego, stanąć na gruncie kształtów prawnych nowych, otwierających zupełny upust uprawnionym i postępowym dążnościom kulturalnym. „W czem zawiera się zawiłość sytuacyi dzisiejszej w Austryi? — pisze pewien publicysta. W sprzeczności pomiędzy żywotnością ruchów narodowościowych a strupieszałością form, do których one dążą. Ruchy te marzą nie o stworzeniu lub utrzymaniu stosunków państwowych, zapewniających samodzielność narodową, lecz takich, które połączone są nieodzownie z uzależnieniem pojedynczych ludów lub ich odłamów. Urzeczywistnienie prawa historycznego czeskiego oznacza nietylko autonomię Czechów w Czechach, na Morawach i Szląsku, lecz także ujarzmienie mniejszości niemieckich w tych dzielnicach (oraz polskiej na Szląsku) *). Obawa takiego niebezpieczeństwa była najgłówniejszem źródłem wybuchu namiętności politycznych wśród Niemców przeciw Czechom. Rozporządzenia językowe stanowią same w sobie reformę drobną i niewinną, wymagającą pewnych ulepszeń, lecz nieprzedstawiającą niebezpieczeństwa dla Niemców. Ale zoczono w nich zwiastuna prawa państwowego czeskiego i oddanie Niemców na łaskę i niełaskę Czechów."

Ustrój centralistyczny w Austryi jest nadal niemożliwy, ani też panowanie jednej narodowości nad innemi, jeśli monarchia habsburska ma istnieć. Jedyne wyjście, to federacya, ale nie federacya dzielnic historycznych, niemających również podstawy w stosunkach teraźniejszości, tylko obszarów etnograficznych, opartych na potrzebach kulturalnych każdego z licznych narodów państwa austryackiego. I tylko będziemy mogli tego męża stanu uznać za wielkiego, który — mniejsza nawet o sposób działania — targnie się śmia-

*) Niektórzy goście czescy, tak podejmowani w Krakowie, są najzaciętszymi wrogami Polaków na Szląsku.

42.

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Majdaniarz gra ważną rolę przy „zamianach," które w języku aresztanckim zowią się „ślubem." Odbywa się on zwykle w sposób następujący: Jeżeli w więzieniu jest aresztant długoterminowy, który pragnie zamienić się na imiona i „losy" z krótkoterminowcem, przystępuje do towarzystwa Iwanów i chrapów, a ci koniecznie do udziału muszą dopuścić majdaniarza. Wyszukują odpowiedniego zewnętrznie krótkoterminowca, najczęściej nędzarza i zaczyna się obława. Obcowanie z człowiekiem 24 godziny mimowoli daje możność poznania jego zwyczajów, charakteru, nawyknień, słabostek. Towarzystwo zaczyna pracować. Majdaniarz szybko zawiązuje niezwykłe stosunki przyjazne z upatrzoną ofiarą. Otwiera głodnemu kredyt.

— Nic nie szkodzi. Bierz! Jesteś chłop, jak widzę, dobry. Może ci z domu przyślą, jałmużna będzie, zapracujesz albo ukradniesz co. Ja ci zaufam. Jesteś chłop uczciwy.

— Czy nie chcesz czasem wódki?

I daje mu kwaterkę gorzałki.

— Pij, pij! Porachujemy się później!

Podchmielony więzień prosi o drugą. Odurza się mocno. A tu sąsiad już sidła zastawia.

— Cóż? Tyś człowiek porządny! Wziąłbyś się do gry w karty: zawsze i wódka i wszystko będzie... Patrz, oto ten. Ile pieniędzy zagarnął, jakie życie prowadzi: wódka nie wódka, co chcesz! Tylko się nie bój; to najważniejsze!

— Pieniędzy niema...

— Poproś u majdaniarza. On przecież przychylny dla ciebie. Da na początek. Ej, ojcze!

— Co? Graj — płacę za ciebie; policzymy się potem!

Tu na scenę wchodzi „majster," który ogrywa prostaka na pewno. Kilka rubli, które dla zachęty pozwalają mu wygrać — odurza go.

— Dobrze! Dzielnyś! Jazda! Dalej! — podniecają zgromadzeni dokoła Iwany.

— Znać ptaka po locie! Z takim to się nie zginie! Dać wódki? — zapytuje majdaniarz.

— Odurzony wódką i powodzeniem, bohater woła:

— Bardadym dwa ruble! Szeperka pół rubla oczko!

— Tak! Wal! Ta bita! Będzie inna.

— Rzucaj, siwolapy dyable; nie lubisz przegrywać?..

— Bita!.. Bita!.. Bita!..

Gdy nazajutrz „bohater budzi się z głową pękającą od wczorajszej pijatyki, przypomina sobie, że wszystko przegrał, nawet skarbowy chleb za cały rok z góry... Z głodu umieraj. A tu jeszcze „baracholszczyk" zbliża się:

— Wyleżałeś się, miły człowieku! Zdejmijże kapotę i spodnie. Pamiętasz, wczoraj sprzedałeś mi je!

„Bohater" z przerażeniem przypomina sobie, że wczoraj istotnie coś w tym rodzaju było!

— A nie pamiętasz, to turma przypomni. Oto oni wszyscy widzieli — „Baracholszczyk" wskazuje Iwanów:

— Przy nas było!

ła ręką na ideały średniowieczne i oprze Austryę na takich zasadach, nietylko zapewniających jej byt stateczny, ale również czyniących ją ważną dźwignią dalszego kulturalnego rozwoju całej Europy środkowej. I mając taki cel przed oczyma, musimy z jego stanowiska oceniać czyny statystów austryackich—nie mamy żadnego szacunku dla fortelów, przeciwstawiających jeden naród drugiemu, utrzymujących przy życiu ideę prawa historycznego i z bojaźnią cofających się przed główną reformą. Względem każdego, kto wyraźnie nie postawił sobie za zadanie oparcia Austryi na federacyi obszarów etnograficznych, możemy tylko zachować nieubłaganą krytykę.

K. R. Żywicki.

Tydzień polityczny. D. 29 z. m. w okolicach Aten wykonano zamach na króla Jerzego. Król jadący wraz z córką swą Maryą, ocalał. Dwaj sprawcy fizyczni są w rękach sprawiedliwości. Należeli oni do jakiegoś większego zespolenia sił— którego wszakże za organicznie działające sprzysiężenie politycznie uważać nie można. Jeden ze sprawców nazywa się Karditzis, służy w municypalności ateńskiej.

Zola wniósł kassacyę. Podobno nie znalazł obrońcy przed kratkami sądu najwyższego i będzie miał obrońcę z urzędu. Byłoby to charakterystycznem dla dzisiejszej Francyi, dla jej dzisiejszego republikanizmu i demokracyi. Rozprawy w Izbie i w senacie nad procesem zakończyły się zwycięztwem rządu. Mowę Meline'a z d. 24 lutego, rozlepiono we wszystkich gminach francuskich. Monarchiści górą: ks. Ludwik Orleański — król *in petto* — uściskawszy Esterhazego, ściska teraz całą armię w rozpowszechnianej skwapliwie odezwie. O gen. Pellieux, który w procesie dwukrotnie prorokował bliską wojnę, donoszą dzienniki paryskie, że uczestniczył w jakimś szabasie bonapartystowskim. Rząd dotychczas nie zaprzecza. Picquart jeszcze nie wydalony z armii, ale już wypuszczony z Mont-Valerien.

Zatarg nad Nigrem załagodzony. Francuzi wypatli się — może istotnie cofnęli swą wyprawę. Komisya anglo-francuska, obradująca w Paryżu, ma wytknąć wzajemne granice wpływów i posiadania.

Źródła angielskie donoszą o nowym zatargu w Chinach. Francuzi mieli jakoby zatknąć sztandar swój w Junnanie o 60 mil geograficznych na południo-zachód od Hong-Kongu, po nad Tonkinem.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PROJEKT WALKI.

W poprzednim numerze zarysowaliśmy obraz ogólny klęski społecznej i ekonomicznej, stale podtrzymywanej przez zorganizowane bandy złoczyńców. W artykule zaś niniejszym postanowiliśmy sformułować sposoby walki z tem znamiennem a tak smutnem zjawiskiem. Zanim atoli damy wskazówki, musimy obraz poprzedni uzupełnić kilku szczegółami. Kradzieże po wsiach dotyczą głównie inwentarza żywego, oraz sprzętów. Pierwsze stanowią poważną rubrykę strat, dającą się do pewnego stopnia usunąć za pomocą zarządzeń odpowiednich. Zarządzenia zaś te będą tylko wtedy skuteczne, gdy uwzględnią nietylko same fakty kradzieży i pociągną do odpowiedzialności ich sprawców, lecz gdy wogóle ogarną całą *zorganizowaną* działalność bandy i będą prześladowały w równej mierze wszystkich członków przedsięwzięcia złodziejskiego, które jest całkiem prawidłowo stworzone na wzór towarzystw, rządzących się ustawami. Są tam fachowcy, jest racyonalny podział pracy. Złodziej i paser podtrzymują się wzajemnie; jeden bez drugiego nie mógłby istnieć, nie mógłby ciągnąć zysków z przedsiębiorstwa, łatwiej byłby narażony na ryzyko i bankructwo.

Paser tedy, ze względu na swoją rolę, jest takim samym złoczyńcą jak złodziej, a więc powinien być w ten sam sposób ścigany i karany. Należy tedy przedewszystkiem zwiększyć odpowiedzialność paserów, dokonywać u nich częstszych rewizyj i w razie niejednokrotnego odkrycia łupów, podwyższać karę. Złodziej w rzadkich wypadkach kradnie konia lub krowę na własne ryzyko. Zwykle jest on agentem handlarza, który mu płaci od sztuki 20, 10, 5% wartości. Ten handlarz zna wszystkie drogi tajemne, posiada liczne stosunki, za których pomocą posuwa skradziony inwentarz daleko od miejsca. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie było tych „paserów," kradzieże zmniejszyłyby się znacznie. Jakkolwiek kodeks za „uorganizowaną bandę" lub „szajkę" uważa pewną grupę ludzi, związanych wzajemnemi zobowiązaniami i działających łącznie, agenci pasera są właściwie zorganizowaną bandą czy szajką, której przewodniczy paser. Najlepszym dowodem to, że jeżeli ktokolwiek pozyska opiekę takiego agenta lub pasera (przyjaźnią, datkami itd.), może być pewnym, że go nie okradną, a jeżeli „przez pomyłkę" to uczynią, to łub zwrócą.

Gdyby tak oceniano właściwą organizacyę złoczyńców, to pierwszem usiłowaniem władz administracyjnych byłoby wyśledzenie ognisk złodziejstwa — paserów. Trzeba przedewszystkiem tych specyalistów ukrócić, rozciągnąć nad nimi stały dozór, złożony z ludzi bezinteresownych, obojętnych na wszelkie pokusy; trzeba tych głównych członków, a właściwie nawet przywódców organizacyi, obarczyć surową odpowiedzialnością — szczególnie recydywistów.

Co do koniokradztwa, największej plagi, usiłowano je osłabić za pomocą świadectw na konie. Był to krok pożyteczny, ale sam przez się niewystarczający. Należało bowiem zaostrzyć kontrolę tych świadectw. W każdej wsi jest sołtys, w każdem mieście — policyanci, którzy doskonale wiedzą o każdym nowonabytym koniu. Oni więc naprzód powinni zrewidować świadectwo pod osobistą odpowiedzialnością i złożyć raport burmistrzowi, wójtowi gminy lub naczelnikowi straży ziemskiej. Obecnie świadectwa rzeczone są przedmiotem nadużyć. W dowodach tych bowiem nie zawsze są szczegółowo wymienione cechy konia. Zwierzę jest śmiertelne, świadectwo — nieśmiertelne. Gdy np. w tem ostatniem powiedziano, że koń jest *gniady* i po za tem prawie nic

---

— Nie zapomnij także oddać mi następnej porcyi. Za cały rok naprzód przegrałeś. Możeś zapomniał? Żeber całych, bratku, nie mają ci, którzy zapominają. Zwyczaj aresztancki, znany.

A oto i majdaniarz nadchodzi.

— Pozwoliłeś tu sobie wczoraj, miły człowieku! Teraz musimy się wziąć do rachunku. W „majdanie" winien mi jesteś tyle to; przegranej zapłaciłem za ciebie—tyle. Wyjmuj, dawaj pieniążki!

— Ale przecież wczoraj mówiłeś...

— To co innego, miły człowieku! Wczorajszej daty wczorajsza rozmowa była, a dzisiejszej — dzisiejsza. Pieniądze są mi potrzebne; za towary muszę płacić. A jeżeli ty zadłużasz się, a nie chcesz płacić, to my po swojemu. Bracia, cóż to? Rabunek?

— Cóż to za porządek w turmie się zaczyna? — wrzeszczą chrapy — majdaniarzowi nie płacą! My od niego za majdan bierzemy — a jemu nie płacą! Któż po tem wszystkiem majdan utrzymywać będzie? Gdzie takie porządki są pisane?

— Dusić będziemy! — oznajmiają Iwany — niema takich porządków w katordze, ażeby zadłużyć się i nie płacić!

Wszystko przegrane! Długi! W perspektywie żebra połamane i śmierć głodowa. W tej właśnie chwili do zrozpaczonego krótkoterminowca zbliża się „kręcony" — torreador katorgi.

— Chcesz? — wybawię cię z biedy!

— Dobroczyńca!

— Słuchaj, ani słówka nie uroń. Jest tutaj pewien długoterminowiec, podobny do ciebie. Najmij się za niego do katorgi.

— Na dwadzieścia lat? Życie zatracić? — z przerażeniem na demona-kusiciela patrzy aresztant, któremu całej katorgi pozostaje tylko 3—4 lata.

— Wszystko jedno; nie żyć tobie! Zabiją za to, że w majdanie nie płacisz, albo z głodu zdechniesz! Słuchaj dobrze! Tyś człowiek młody, zwyczajów nie znasz, a ja „kręcony," znam wszystkie wejścia i wyjścia. Po co na całe życie iść? Uciekniemy! A przytem wszyscy, ilu jest katorżników, pomogą ci! My zawsze takich uwalniamy! Ilu już uciekło! Ten, ów, tamten!..

„Kręcony" wylicza niebywałe imiona.

— Nie słyszałeś? To zapytaj innych, rozumniejszych. Ucieka, podaje się za włóczęgę, nikt nie wyda — skażą na półtora roku. Cóż to „sucharnik" złe ma życie! Oto pójdź, miły człowieku, do długoterminowca, do nóg mu się pokłoń, żeby ciebie wziął. Was takich jest wielu.

Jeżeli przyszły „sucharnik" nie zgadza się na to, „kręcony" daje tylko znak.

— Bij go! — woła majdaniarz.

I katorga zaczyna się pastwić nad nierzetelnym dłużnikiem. Pierwszy raz biją bez uszkodzenia, przeważnie nogami pomiędzy łopatki, ale nigdy „w pysk," ażeby fizyognomii „nie popsuć." Ale uprzedzają:

— Później jeszcze nie tak! Póty bić będą, aż wszystko co do grosza zapłacisz w majdanie!

Iwany i chrapy śledzą go, nie opuszczają ani na chwilę: „żeby się nie powiesił." Głodny, zbity, zrozpaczony, idzie do długoterminowca i oznajmia:

— Zgadzam się!

— Pamiętaj! Ja ciebie nie szukałem — sam prosiłeś. Żebyś się potem nie cofnął.

I zaczyna się targ o życie ludzkie. Targ niegodziwy. Aresztant długoterminowy niby płaci majdaniarzowi ogromne fikcyjne długi „zastępcy," a Iwany i chrapy, udając, że podnoszą ceny, w rzeczywistości wyciągają ostatni grosz nieszczęśliwemu.

więcej, dowód taki może handlarzowi służyć za przepustkę dla dziesiątków koni. Ma on wielką cenę i jako papier wartościowy, podniesiony na giełdzie złodziejskiej, krąży w handlu. Gdyby więc i świadectwa te trochę zreformowano, gdyby sumienniej notowano w nich cechy konia, zaznaczano wyraźnie wiek oraz datę napisania, handel tego rodzaju byłby już znacznie utrudniony.

Sprawność i sprężystość, czujność i pośpiech w poszukiwaniu rzeczy skradzionych tudzież w wyśledzeniu i pociąganiu do odpowiedzialności złoczyńców — bardzo szwankują w całym kraju. I tutaj środki energiczniejsze, polegające przedewszystkiem na pośpiechu alarmowym i pościgowym, mogłyby znacznie utrudnić działalność złoczyńców. Trzeba tylko, ażeby o każdej kradzieży znaczniejszej były natychmiast telegraficznie lub piśmiennie zawiadamiane organy policyjne całej gubernii. Ponieważ takich środków nie mamy wcale, więc zdarza się nieraz, że o kradzieży dokonanej w jednym powiecie, poblizcy sąsiedzi nic nie wiedzą. Nadto trzeba w jakiemś piśmie codziennem stworzyć stałą rubrykę, w której byłyby szybko podawane zawiadomienia o wszelkich znaczniejszych kradzieżach, dokonanych w kraju. Organ taki spełniałby dla całego kraju rolę centralnego biura informacyjnego i byłby obowiązkowo prenumerowany we wszystkich urzędach policyjnych. Wyobraźmy sobie: we wsi X. złodzieje kradną konia; właściciel zawiadamia szybko naczelnika straży ziemskiej, ten zaś innych naczelników straży w całej gubernii oraz redakcyę owego pisma. Tym sposobem w ciągu kilku dni cały kraj dowiedziałby się o dokonanej kradzieży we wsi X. Czy w takich warunkach złodzieje mogliby uchodzić bezkarnie, jak dziś?

Projekt nasz mógłby mieć znaczenie realne tylko wtedy, gdyby przeszedł do jakiejś instytucyi, zcśrodkowującej interesy ludności wiejskiej. Jedyną taką instytucyą u nas jest sekcya rolna. Jej więc myśl powyższą polecamy, zwłaszcza że członkowie tego ogniska spraw bezpośrednio są zainteresowani i jako dotknięci stałą klęską złodziejską, mogliby dostarczyć sporo dowodów i nasz projekt szerzej rozwinąć. Niechże ta instytucya stworzy delegacyę odpowiednią i poleci jej pracę, ważną dla całego kraju, zarówno pod względem ekonomicznym, jak i społecznym *).

*) W wielu wsiach podmiejskich włościanie niedawno zaczęli cechować cenniejsze sztuki inwentarza rogatego dla utrudnienia złodziejom sprzedaży na targach i jarmarkach bydła skradzionego. Jest to także jeden z dobrych środków, zasługujących na upowszechnienie.

LISTY PETERSBURSKIE.

Ziemstwa pod grozą bankructwa. — Podatki. — Czy można zmniejszyć sumy wydatków? — Środki zaradcze. — Sekciarstwo.

Sesye jesienne zebrań ziemskich wykazały niemal powszechnie opłakany stan finansowy tych instytucyi. Kasy zupełnie puste, wpływów niema, wydatki zaś trzeba robić z funduszów ubocznych, albo też przewlekać wypłaty. Położenie takie bez wyjścia maluje notatka prezesa komisyi rewizyjnej ziemskiego zebrania gubernialnego w Smoleńsku, p. Muromcowa: „Po dokładnem i wszechstronnem przejrzeniu rachunków okazało się, że w roku następnym (bieżącym) smoleńskie ziemstwo gubernialne jest pod grozą formalnego bankructwa, którego nie uniknie, jeżeli natychmiast nie będą przedsięwzięte środki nadzwyczajne, ażeby wybrnąć z tego położenia krytycznego. Dnia 1 stycznia r. 1894 liczono całego kapitału ziemstwa 2,478,000 rs., a 4 grudnia 2,592,000 rs. Na pozór stan finansowy świetny, ale tylko w wykazach buchhalteryjnych. W rzeczywistości jest inaczej. Rachunek bieżący ratował się resztkami z kapitałów zapasowego i obrotowego, a gdy zabrakło tych środków, musiano zaczerpnąć 60,000 rs. z kapitału asekuracyjnego. Długi ziemstw powiatowych wynoszą 293,000 rs. Cyfra wszystkich długów jest tak olbrzymia, że gdyby np. zmniejszono budżet na rok przyszły (bieżący) o 20—30 tysięcy rs., to oszczędność taka wcale nie poprawiłaby warunków. Choćby nawet pobory ziemskie normalnie wpłynęły, jeszcze pozostanie około 100 tysięcy deficytu. Jeżeli zaś ludność nie może zapłacić podatków bieżących, 180 tysięcy rs. (a trzeba dodać, że wpłynęło tylko 50 tysięcy, tj. 27,45%), to jeszcze trudniej będzie zapłacić 293 tysiące. Skoro zadłużenie trwało przez lata całe, to niepodobna wstrzymać go odrazu. W roku przyszłym (bieżącym) stan kasy będzie jeszcze gorszy. W roku przeszłym czerpano z kapitału zapasowego i wsparcia publicznego. Nadal źródeł tych już nie będzie."

Taki stan opłakany finansów ziemskich daje sposobność *Moskowskim Wied.* do krytyki gospodarki tych instytucyj, których gazeta owa jest wrogiem. Występuje ona niby w obronie ludu opodatkowanego, ale gdyby się stało według jej myśli, lud ten wpadłby jeszcze w gorsze położenie. Podatki na rzecz ziemstw wynoszą 38% dochodu (w najbogatszej gub. Permskiej). „Coby powiedziała ta prasa (zwolenniczka podatków ziemskich) — piszą *Mosk. Wied.* — gdyby ludność była obarczona w stosunku 40—50% dochodu na rzecz kasy skarbowej, chociażby pieniądze te użyto na cele najpożyteczniejsze? Powiedziałaby, że w naszym kraju niepodobna istnieć, że nasza ojczyzna przy takiej gospodarce wkrótce się zamieni w pustynię, że takich podatków niema nigdzie na całym świecie i że od takich ciężarów, jeżeli niema innego ratunku, ludność może się uwolnić tylko ucieczką. Ale oto gdy te straszne podatki ściągają instytucye ziemskie, nietylko nie słyszymy głosu przeciwko nim, ale jeszcze ziemstwo jest zachęcane do dalszych czynów w tym zakresie. Usłyszy ono niebawem: gdyby podatki dosięgły nietylko 50%, ale 60—70 lub nawet 100%, to i w takim razie ziemstwo miałoby racyę, a środek ten byłby normalnym."

Skarga ta może byłaby słuszną, gdyby nie płynęła łożyskiem ciasnych poglądów.

Wobec ciężkich warunków finansowych ziemstw nagonka ich nieprzyjaciół w prasie byłaby szkodliwą i zabójczą, gdyby ją wysłuchano. Na szczęście więcej jest zwolenników dążności i myśli rozumnych, a więc zapewne na szerokie uznanie zasłuży następujący pogląd prezesa połtawskiego zarządu ziemskiego: „Organizacyę działalności ziemskiej wywołało życie, a więc normować tej organizacyi przemocą nie można. Pod naciskiem potrzeb życiowych działalność ziemstwa rozwija się stopniowo i wyma-

---

— Dałbyś i jemu trochę na początek!— wołają chrapy.

— Z czego mam dawać? — wzdraga się najmujący — tak dużo pieniędzy wyrzucać! W majdanie płać! Wykup go u „barachołszczyka," za porcyę caloroczną z góry zapłać. Z czego dawać!

— No, daj choć pięciorublówkę! — mówi wspaniałomyślnie jakiś Iwan — nie krzywdź! Chłop dobry. Przytem cechy podobne.

— Nie mam za co dawać!

— Chcesz na połowę? — szepcze chrap nieszczęśliwemu — za ciebie gardłować będę. Bo tak nic nie dadzą. Chcesz, co?

— Gardłuj!

— Co tam piątka! — woła chrap—czerwony papierek nie będzie grzechem. Nie krzywdź człowieka; wszak twoje imię przybierze. Grzechy twoje nosić będzie. Dawaj papierek czerwony!

— Pięć będzie dosyć!

— Czerwony!

— Cen takich niema w katordze!

— Przecież to pieniądze prawdziwe, nie „lipowe."

— I on prawdziwy, nie „lipowy."

— Niech, do dyabła, będzie, jak chcecie! Ofiaruję czerwony. Niech wie, czyje imię i nazwisko nosi!

— Oto i ślub, i radość dla turmy! Żądaj wódki z majdanu, Sidorze, synu Karpa! Trzeba wypić za zdrowie państwa młodych. Niech im Bóg dopomaga, miłością ich zagrzewa! — woła katorga.—Majdaniarzu, psi synu, siwołapy, nie znasz swego obowiązku? Ślub, a ty wódki nie dajesz!

Tak człowiek sprzedał swoje życie, swój los za 10 rubli! (Cena rzeczywista życia ludzkiego na katordze waha się między 5 a 20 rs. Połowę z sumy powyższej, stosownie do umowy, zagarnie chrap za to, że „podbił" cenę, pozostałe zaś pięć wygra „majster" lub zabierze majdaniarz „na rachunek długu":

— Cóż to, za ciebie zapłacono! Sam płać za siebie! Należy się za wódkę.

Albo poprostu ukradną mu, gdy będzie senny i pijany. Turma nieubłagana:

— Niech każdy o sobie myśli!

Ale jedna tradycya jest święcie zachowywana w więzieniu: człowieka, który swój los sprzedał, poją do utraty świadomości: żeby nie cierpiał.

— Pocieszaj swoją duszę sprzedaną!

Zamieniają swoje ubranie z tym, któremu się sprzedał. Jeżeli przedtem nie nosił kajdan, nakładają mu je. Obaj opowiadają sobie swoje dzieje, żeby się nie zaplątać gdzie podczas badań. Tutaj dopasowują także cechy. Jeżeli w rubryce znaków szczególnych długoterminowiec miał oznaczony brak kilku zębów, to krótkoterminowcowi-zastępcy wyrywają lub wybijają stosowną ich liczbę. Jeżeli są znaki rodzime, wypalają lapisem plamy w odpowiednich miejscach. Wszystko to musi być zrobione w obecności wszystkich więźniów.

— Pamiętasz? — pytają zastępcę.

— Pamiętam!

— Wszyscy, bracia, widzieliście?

— Wszyscy! — woła turma.

Każą majdaniarzowi dać wódki i — „ślub" skończony. Człowiek sprzedał całe swoje życie, przybrał cudze imię i został „sucharnikiem." Nabywca stał się jego *gospodarzem.* Gdyby „sucharnik" chciał zawiadomić władzę o „ślubie" i „zasypać" gospodarza, będzie zabity. Innej kary za to katorga nie uznaje.

I oto znowu nazajutrz z głową pękającą od pijatyki budzi się przebrany długoterminowiec.

On — nie on.

ga coraz większych środków. Obcinać obecnie budżet, zmniejszać wydatki, to znaczy rujnować organizacyę i nie naprawiać jej. Dlatego, że się zwiększają wydatki, nie można obarczać zarządu ziemskiego zarzutem nieoględności w szafowaniu sum. Ekonomia prywatna posiada dwie dążności: najmniej wydać i najwięcej zyskać. Ekonomia społeczna, otrzymując pieniądze od ludności, stara się zwrócić je pod postacią ulepszeń i udogodnień, które są niedoścignione dla jednostek. Ażeby określić produkcyjność wydatków ziemskich, trzeba ocenić te korzyści, jakie otrzymuje ludność. Nie dla wszystkich one są widoczne, gdy tymczasem wydatki każdy dostrzeże i oto w rezultacie wynika rozdrażnienie, niezadowolenie, oskarżanie ziemstwa o wydatki nieprokukcyjne."

Bankructwo grozi prawie wszystkim ziemstwom, zwłaszcza w czarnoziemnych guberniach wielkorosyjskich. Przyczyna tego smutnego zjawiska leży w upadku gospodarki włościańskiej. Ziemstwa przy szerszym zakresie i obfitszych środkach mogą tylko przyczynić się do naprawy warunków.

Gdyby usłuchano ekonomistów z *Moskowskich Wied.*, trzeba byłoby organizacye te poprostu zwinąć, a więc zniszczyć zarazem i to wszystko, co one stworzyły lub zacząwszy, nie mogły jeszcze dokończyć. Przed kilku laty profesor uniwersytetu kazańskiego, p. Wysocki, malując straszny obraz spustoszenia, wywołanego śród ludności przez dyfteryt, zaznaczył, że są wielkie wsie, w których wymarły *wszystkie* dzieci do 16 roku życia. I oto dla ochrony masy ludności nadwołżańskiej od zagłady stworzono przy uniwersytecie w Kazaniu instytut bakteryologiczny, który wyrabia surowicę przeciwbłoniczną. Chcąc zmniejszyć wydatki ziemstw, trzeba się wyrzec poparcia i takich instytucyj; trzeba odmówić zasiłku szkołom, pozostawić ludność bez pomocy lekarskiej itd.

Ale jak wyjść obecnie z zaklętego koła? Ludność zrujnowana, uboga, zalega w opłatach podatków ziemskich, potrzeby zaś jej, załatwiane i regulowane przez ziemstwa, rosną z dniem każdym. Należałoby na razie wyrobić jakiś kredyt uboczny, a następnie obok zadań dotychczasowych, rozwinąć działalność przemysłową i handlową, która dając zarobki ludności ubogiej, jednocześnie dawałaby dochody na różne organizacye niezbędne dla tej ludności. Taka działalność przemysłowo-handlowa ziemstw, pozbawiona cech zwykłego przedsiębiorstwa, w którem zyski osobiste i spekulacya grają pierwszorzędną rolę, mogłaby być ogromnie pożyteczną.

Dużo się mówi i projektuje na temat wykładów popularnych dla ludu, które przyczyniłyby się z czasem do podniesienia produkcyjności pracy. Niestety, o wykładach takich w czynie dotąd nie słychać. Natomiast rozwinęła się innego rodzaju nauka, raczej tak zwane dysputy religijne, odbywane publicznie w wielu miastach, a nawet wsiach. Bodźcem do tego stał się rozrost sekciarstwa, które *Misionierskoje Obozrenie* tak charakteryzuje: „Przygasająca w ciągu ósmego dziesiątka wieku niniejszego propaganda sztundyzmu, znowu się ożywiła. Przywódcy sztundystów-paszkowców rozwinęli namiętnie prozelityzm, energię i śmiałość. Ruch sekciarski nietylko wzrósł w dawnych ogniskach, lecz ogarnął nowo miejscowości, gdzie o sztundyzmie nie miano dotąd pojęcia. W roku ubiegłym wdarł się on do gubernij Kałuskiej i Niższonowogrodzkiej. W prowincyach południowo-zachodnich, gdzie propaganda sztundyzmu w ostatnich czasach zupełnie ustała, ruch zaś osłabł i uspokoił się, teraz znowu wzrósł w niektórych miejscowościach (pow. Kaniowskim) i ujawnił się w znacznej liczbie odłączeń od prawosławia. W guberniach nadwołżańskich i na północy Kaukazu sztundo-babtyzm wykazał też gorliwość większą i poczynił znaczne podboje w sektach mołokańskich i chłystowsko-szałopuckich. Apostołowie sztundyzmu z ewangelią w ręku przebiegają wzdłuż i wszerz Ukrainę, głosząc swą naukę. To samo (według *Noworosyjskiego Telegrafu*) dzieje się w Chersonie, gdzie ledwie umiejący czytać kaznodzieje pod kierunkiem przekupnia Miny Fedczenki i mieszczanina Filipa Goricyna głoszą naukę sztundystów i gromadzą tłumy słuchaczów, nawet na rynku. Mówią oni ludowi, że naukę swoją czerpią nie wprost od Boga, lecz z ksiąg świętych.

Oczywiście Cerkiew prawosławna nie może na to patrzeć pobłażliwie. Wyraża ona swoje zapatrywania na sekciarstwo w sposób następujący (według streszczenia p. Skworcowa, urzędnika do szczególnych poleceń przy boku oberprokuratora Świętobliwego Synodu): „Obowiązkiem naszym jest przestrzegać stróżów ojczyzny, że sekciarstwo, odłączające się od jedynej cerkwi i utrwalające w sobie wolnomyślność, stanowi i pod względem państwowym materyał palny, który od iskry anarchicznej, na podobieństwo nauki duchoborców, może z czasem w każdem miejscu wybuchnąć straszným pożarem politycznym i zarazić czystą atmosferę duchowo-politycznego poglądu na świat naszej ludności prawosławnej. Będzie to woda na młyn wrogów cerkwi i ojczyzny."

Na podstawie powyższego poglądu postanowiono między innemi prosić o zakazanie pastorom luterańskim odprawiania nabożeństwa po rosyjsku tam, gdzie mieszkają sztundyści, gdyż przekonano się, że oni uczęszczają na te nabożeństwa (w r. 1894 zabroniono im publicznych modlitw własnych); o wykreślenie wyrazu „publicznie" z prawa, wzbraniającego szerzenia nauk sekciarskich, wyraz ten bowiem daje sądom powód do częstszej pobłażliwości względem oskarżonych o propagandę religijną.

Paweł Krzyżanowski.

PO PROCESIE ZOLI.

Paryż, 25 lutego.

Czekam kilku książek — pisze w dzisiejszym numerze *L'aurore* zdolny literat, Lucyan Descaves.

Pierwszą jest dokładne i zupełne sprawozdanie z rozpraw sądowych, które ukończyły się po piętnastu pamiętnych posiedzeniach. Potrzebuje go, będę często potrzebował: długo będzie ono przydatne wszystkim ludziom dobrej woli, niechcącym, aby suknię sprawiedliwości obryzgiwało błoto.

To sprawozdanie posłuży także naszym dzieciom do wyrobienia sobie pojęcia o stanie sądownictwa we Francyi pod koniec dziewiętnastego wieku. Będą one wiedziały zeń o rozprawach, kierowanych po wojskowemu; ujrzą dwa trybunały, jeden główny w czerwonych szatach, drugi pomocniczy w czerwonych pantalonach i przy szabli; oba podpierające się wzajem jak dwa rozchwiane budynki, które grożą mieszkańcom pogrzebaniem pod ich ruinami. Zobaczą także nadzwyczajny nacisk, jaki wywierano tu na dwunastu biednych sędziów, przykładając im prawie ostrza do gardła.

Drugą książką jest utwór, w którymby Zola upamiętnił owe niezrównane chwile.

Pod jego imieniem jest w więzieniu inny, który ponosi karę za jego lekkie grzechy. On zaś — ma przed sobą 20 lat katorgi; czasami chłostę. Kara za zbrodnie, których on nigdy nie popełniał.

Na nogach ma kajdany — cudze. Przestępstwo — cudze. Los — cudzy. Imię — cudze! Nie, teraz to wszystko nie cudze, lecz własne!

— To prawda! — śmieje się katorga — człowiek jest „nie swój."

Co on może odczuwać? Katorga, znawczyni serc, zrazu śledzi go: „żeby się nie powiesił" — bo wtedy może się wszystko wydać.

Z czasem jednak przyzwyczaja się...

— Do wszystkiego podlec, człowiek, może się przyzwyczaić! — ze łzami w oczach i głosie mawiał mi pewien inteligentny katorżnik, przypominając słowa Dostojewskiego.

Te śluby były szczególnie często za strasznych czasów na etapach syberyjskich. Ale czy tak samo często zdarzają się teraz, gdy są fotografie przestępców?

Oto fakty. Nie dawniej jak w jesieni 1896 r. przy wsiadaniu partyi na statek „Jarosław" wykryto taką „zamianę." Znakomitością w tym zakresie, o której wspominałem już na początku swej podróży, był niejaki „Iwan Przejdzi-Świat." Postać, która się stała jakąś mityczną. W ciągu trzech lat z każdym transportem przyprowadzano na parowiec włóczęgę „Iwana Przejdzi-Świata" i za każdym razem przed odejściem parowca otrzymywano telegram: „Zawrócić włóczęgę, wysłanego pod imieniem Iwana Przejdzi-Świata, gdyż nie jest rzeczywistym." Kto jest ten „Iwan Przejdzi-Świat," gdzie się obraca — nigdy nie wiadomo. Na Sachalinie słynny jest katorżnik „Pchła," niegdyś „znakomity" zabójca moskiewski. Postać ta również stała się napół mityczną. W każdem więzieniu był aresztant „Pchła" i zawsze ostatecznie okazywało się, że to „nierzeczywisty." Na Sachalinie przez pewien czas było dwu pod tem imieniem, ale żaden z nich nie był tym prawdziwym, nieuchwytnym, którego z powodu tej nieuchwytności nazwano „Pchłą." Zamiany zdarzają się w więzieniach sachalińskich także podczas przesyłania partyi z posterunku na posterunek. Gdzież tam można porównać fotografie, gdy ich są tysiące? Kto ma sprawdzać? Fotografie po zdjęciu idą do szafy, a aresztanci w więzieniu robią, co im się podoba.

Trochę odbiegłem od rzeczy; ale mówiąc o majdaniarzach, niepodobna pominąć „zamiany," gdyż nigdzie tak jaskrawo nie zarysowywa się ten typ. Lichwiarz, szynkarz, gospodarz domu gry — przypomina wielkiego pająka, który siedzi w kącie i wysysa krew z szamocących się w jego sieciach przestępców i nieszczęśliwych.

Czy są przedsiębrane jakiekolwiek środki przeciwko majdaniarzom?

Tak. Nadzorca więzienia rykowskiego utrzymywał z dumą, że w jego turmie niema już więcej majdanów i bardzo szczegółowo opowiedział, jakim sposobem usunął je. Ale to nie przeszkodziło mi tegoż dnia, gdym był w więzieniu, kupić zapałek... w majdanie.

(C. d. n.).

Ma rok czasu w więzieniu do obmyślenia i wykonania. Niechajby wszyscy mogli oglądać wizerunki tych prezydentów bezstronnych, sędziów dzielnych i śmiałych, Gonse'ów i Pellieuxów; pinczerów, co szczekały za kołami jego powozu, zgraję wykrzykującą, stado kruków kraczące około izby sądowej.

Zdaje mi się, że Lucyan Descaves słusznie ocenia znaczenie skończonego procesu. Jego dzieje mogą miłującym wolność i prawdę dodawać podniety do łączenia się i do wspólnego działania; przyszły dziejopis zaś trzeciej rzeczpospolitej znajdzie tu pyszne materyały. Sądzę jednak, że doniosłość tego zajścia należy jeszcze bardziej podnieść, w szczególności o ile idzie o historyka. Dwadzieścia tych dni lutowych pozwoli mu nietylko wyrobić sobie pojęcie o stanie szacunku sprawiedliwości w dzisiejszej Francyi, ale także wejrzeć głęboko w jej położenie społeczne.

Unaocznijmy je sobie w kilku rysach.

Oskarżenie, wręczone Zoli, zapowiadało już dość wyraźnie przebieg procesu. Dodano bowiem do niego uwagę, że trybunał będzie kierował się 52 paragrafem prawa z dnia 29 lipca 1881 r. Paragraf ten nie pozwala „udowadniać w sądzie rzeczy, o których niema mowy w pozwie."

Pocieszne prawo. Opierając się na zajściu Dreyfusowskiem, Zola zarzuca nieczność kilku generałom. Wytaczają mu proces o obelgę; dowieść jednak, że obelga rzekoma nią nie jest, oskarżonemu nie wolno.

W podobnych wypadkach więc zainteresowani są zupełnie na łasce sędziów. Skoro ci zechcą uznać, że danej osobie z powodu jej stanowiska nie można uczynić żadnego zarzutu, urządzą pozew tak, że podsądny będzie z góry skazany bez możności obrony. Nim ujrzymy zastosowanie tego względem osób prywatnych, wiedzmy, że doszło już do skutku w obronie armii. Armii we Francyi nie wolno nic zarzucić.

Logicznem następstwom podobnego kultu będzie wspaniała odmowa oświadczeń i odpowiedzi ze strony wojskowych wezwanych na świadków, będą szczegóły, na które żali się Descaves. Lecz prasa mieszczucha, z konieczności kryjącego się za bataliony, roznosi swoje hymny między tłum ciemny, nieoświecony i zatruwa szerokie masy. Przy wybitniejszej sposobności uwidoczniają się skutki tego oszołomienia.

Hiszpania miała liczne pronunciamenta, w Grecyi oficerowie spustoszyli przed kilku laty biuro redakcyi nieprzychylnego dla nich dziennika; we Francyi po raz pierwszy mógł oficer rzucić się bezkarnie na człowieka, który wołał: „niech żyje wojsko, ale nie jego naczelnicy!" (adwokat Courot). Co więcej znajdował powszechne poparcie! Tłum po raz pierwszy groził pobiciem tym, co na jego żądanie nie chcieli wołać: „vive l'armée!" i wołali tylko: „vive la République!"

Kropidło i buzdygan, nie ogień i woda. Przeciwnie, bardzo często lubią się. Krzyżacy uczyli nas tego. Burżuazya wszechwładnie panująca nie nic ma przeciw osłonięciu i religią swej powagi. Więc reakcyjność wyznaniowa nie jest wcale czemś przeczącem jej istocie.

I ta uzewnętrzniła się.

Antysemityzm miewa rozmaite podłoża: społeczne, etyczne, religijne. We Francyi głównie na ostatniem się rozwinął. Żydów rabowano i bito przedewszystkiem za to, że nie są chrześcianami.

Przeczytajmy naprzykład list z Algieru, wydrukowany w dzienniku *La Croix* (Krzyż) z dziesiątego lutego:

„Panującej nuty zaburzeń algierskich nie oddała — rzecz dziwna — cała prasa. Jest ona taką:

Gdy zamieszki poczęły stawać się nieco poważnemi, gdy ruch jął ogarniać ogół, wszystkie domy francuskie jak za dotknięciem różczki czarodziejskiej okryły się napisami, albo kartkami drukowanemi: Dom francuski i katolicki. — Dom chrześciański. — Magazyn katolicki. — Nie ma Żydów w tym domu.— Jesteśmy wszyscy chrześcianie i katolicy. — Niech żyje Francya. — Precz z Żydami!

Wyraźnie rozumiano: chrześcianin-antyżyd; oto dwa nierozdzielne wyrazy.

Kto podał te hasła?

Kto nasunął tę myśl? Ach, nikt jak tylko Chrystus sam, Chrystus, który kocha Franków, i do którego potrzeba będzie powrócić, bo on jeden jest Zbawcą."

Ohydne to zabijanie w imię Chrystusa, ohydny list, ale bardzo charakterystyczny.

Lecz wyuzdany katolicyzm nietylko przeciw Żydom skierowywa zwykle swój grot. Nie przepuszczał on nigdy i protestantom. Znamiennym i streszczającym zdanie wielu obywateli republiki jest artykuł Jerzego Thiebaud w *Eclair*, umieszczony przed zaczęciem niniejszego procesu:

„Nie idzie tu o sprawę wojskową — czytamy — w kraju poruszyła umysły sprawa większej wagi.

Zapytują się one, czy to istotnie Francuzi rządzą we Francyi, czy garść Żydów i protestantów spikniętych w celu mącenia spokoju publicznego?

Potrzeba tylko wejrzeć głębiej, aby przekonać się o słuszności tego pytania. Rodzina zdrajcy jest tylko maską przedsięwzięcia, które nas niepokoi.

Autor artykułu wielokrotnie zaznaczał niebezpieczeństwo, grożące ze stony protestantów. Trudności, jakie oni robili w przyłączeniu rzeczywistem Madagaskaru, nacechowało ich dostatecznie. Potem odbył się kongres konsystorzy protestanckich w Lyonie, a uchwały tam powzięte miały charakter wyraźnie polityczny. Zwróciłem na nie uwagę w Izbie. W sprawie Dreyfusa objawił się jeszcze bardziej ich charakter antyfrancuski. W senacie, gdzie ich jest osiemnastu na sto, stanowili oni prawdziwą zawadę dla rządu, a na prowincyi ilekroć pan prezydent przyjedzie do jakiego departamentu, zjawia się pastor protestancki i prawi mu z sarkastycznym uśmiechem o sprawiedliwości.

Atoli protestantom idzie tyle o Dreyfusa, co o zgniłe jabłko. Ich głównym celem jest zaprowadzenie we Francyi rządów angielsko-germańskich. Oni to ustalili ów *modus vivendi* francusko-niemiecki i francusko-angielski. Oni sprzeciwili się najnowszym naszym związkom politycznym; a teraz nie bez obaw widzą, że rząd przestaje toczyć z katolicyzmem walkę, którą dotąd prowadził, co więcej, pozwala mu brać udział w ruchu wyborczym.

Z tego to powodu z wynikiem bitwy niniejszej związane jest nie wyswobodzenie zdrajcy, ale autonomia rządu, niezależność narodu."

Szydło wyłazi z worka, znowu kontrast katolików i niekatolików. Wreszcie od nagonek na Żydów i protestantów krok tylko do nienawiści ku cudzoziemcom.

Więc trzynastego lutego „Reforma ekonomiczna" uderzyła w dzwony przeciw nim. Autor J. Doumergue domaga się ochronienia oszczędności i kredytu narodu przed najgorszymi jego wrogami: obcymi finansistami. I wylicza cały szereg domów cudzoziemskich, choć połowa ich właścicieli przyjęła już dawno obywatelstwo francuskie.

Le jour zaś z 24 lutego pisze:

„Podczas gdy zwracano główną naszą uwagę na obronę granic i na walkę orężną, pozostawiano bez osłonięcia nasze interesy i finanse. Wskutek tego dokonało się teraz najście ekonomiczne narodu francuskiego: Oto na czem stoimy. Oto co winniśmy niebaczności. W tę stronę obecnie należy nam spojrzeć. Już przegraliśmy ważne bitwy, już obczyzna odniosła groźne zwycięztwa. Należy zorganizować obronę narodową, bo, jak w roku 1870, terytoryum nasze zalane i wróg dotarł już do serca kraju. Energia francuska jest zagrożoną, potęga ekonomiczna Francyi naruszona; kilka lat obojętności, a dojrzejemy dla niewoli.

Giełda jest niemiecką, literatura norweską, wszystkich przedsięwzięć podejmują się i dokonywają syndykaty belgijskie, angielskie lub niemieckie. O, grozi nam wielkie niebezpieczeństwo.

Ministeryum obecne przeprowadziło już wielką myśl swą ochrony cukru i melasy, do ludu i całego narodu zwracamy się teraz o wpłynięcie na nie, aby wszystkie zgoła interesy Francyi otoczyło zbawczą opieką."

A więc Francya znajduje się obecnie w pełnym rozkwicie reakcyi. Militaryzm, nienawiść religijna, a nawet wyznaniowa, skrajny szowinizm i poczucie sprawiedliwości — zachwycające. Znieprawienie to ogarnęło bodaj że wszystkie stronnictwa. Krzykacze Guesdowscy zachowali się tu jak pachołki Méline'a.

Równocześnie jednak ostatnie wypadki połączyły ludzi miłujących swobodę i umożliwiły ich przegląd. Nieliczni są, ich jądro stanowią tak zwani „libertaires," oddzielający się od dawnych stronnictw, przeważnie w średnim wieku, a w poglądach zbliżeni do mężów z przed pięćdziesięciu lat. Przyłączyło się do nich trochę weteranów, uniwersytet, najświetniejsi przedstawiciele nauki: następca Pasteura, Duchaux, chemik Grimaux, znawca literatur średniowieczny Paweł Meyer, estetyk i filozof Gabryel Seailles, rzucili śmiało rękawicę wstecznikom. Wreszcie młodzież zaciągnęła się do tego zastępu. Pewna ilość słuchaczów uniwersytetu — nie wszyscy bowiem manifestowali na cześć armii i włożyli starodawne berety — prawie że cały ogół młodzieży literackiej i artystycznej. Ci „dekadenci," których Nordau zalicza do zwyrodniałych, wcale nie objawili zwyrodnienia w obecnej sprawie.

Dość rzucić okiem na ich pisma. W *Mercure de France* z lutego Piotr Quillard protestuje przeciw „nieomylności szabli," w *Revue blanche* cała redakcya powstaje przeciw „niesprawiedliwościom spełnionym przez kilka jednostek, chcących niesłusznie utożsamić honor armii i narodu francuskiego ze swojemi osobistemi przekroczeniami." *Revue naturiste* bierze stronę Zoli, *Le libre* wyraża Zoli „swoje młode i niepodzielne sympatye," *Les mois dorés*, *Les Matinee*, *L'essor* zachwycają się walką o sprawiedliwość, łączą głos swój w obronie idei i słuszności i głębiej oceniają doniosłość chwili.

Taki to stan rzeczy odsłania nam proces Zoli. Przypominają mi się tu niektóre starodawne zegary. Raz w dzień, gdy główna wskazówka dotrze do pewnej cyfry, otwierają się drzwiczki wchodzącej w jego skład skrzynki i przed widzem dwie figurki tańczą menueta. Potem drzwi zamykają się i ciekawy musi czekać znów dobę, aby ujrzeć, co kryje się za niemi.

Podobną cyfrę, przy której otworzyło się wnętrze Francyi, stanowiły owe dwadzieścia dni, o których mówiliśmy.

W. Bugiel.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Kto czyta?

Zarzut, uczyniony w „Liberum veto" (nr. 2 *Prawdy*), że szlachta nasza mało czyta, wywołał protest jednego z jej przedstawicieli. Utrzymuje on, że w *każdym* domu obywatelskim „znajdzie się spora biblioteczka dzieł różnej treści." Obojętność względem „Ency-

klopedyi rolniczej“ i dzieł agronomicznych wyjaśnia w ten sposób: „Wada leży w braku u nas szkół fachowych i w złej organizacyi średnich zakładów naukowych. Przyszły rolnik, nawet skończywszy gimnazyum, nie ma pojęcia o naukach przyrodniczych, a bez wiadomości, chociażby początkowych z chemii, botaniki, zoologii i mineralogii, trudno zrozumieć nawet popularniejszą książkę rolniczą, nie mówiąc już o badaniach naukowych.“ Co do „Encyklopedyi,“ autor listu widzi zniechęcenie w przewlekaniu jej wydawnictwa na kilkanaście lat. Otóż wszystkie te dowodzenia są bardzo słabe i bynajmniej nie stanowią objawu pocieszającego. Braki i wady szkolnictwa dają się odczuwać dotkliwie w całem państwie; ale dowodzenie, że są one szkopułem w czytaniu książek rolniczych, przypomina przysłowie o złej tanecznicy. Każdy mniej więcej rozwinięty umysłowo potrafi bez katedry szkolnej obeznać się z elementarnemi zasadami nauk przyrodniczych, które dadzą możność pożytecznego czytania książek agronomicznych. Wydawnictwo „Encyklopedyi“ być może za długo się przewlecze. Ale co by było, gdyby ją wydano w ciągu dwu lat? Większość rolników, która prenumerując obecnie zeszytami, nie czuje kosztów, przeraziłaby się zbyt dużą ceną dzieła całego i zrzekłaby się jej kupna. Cena książki lub pisma peryodycznego śród ziemian odgrywa ważną rolę; dlatego też licha gazetka, uwłaczająca swą nędzą czytelnikowi niepozbawionemu krytycyzmu, znajdzie na wsi popyt, ze względu na taniość.

W proteście znajdujemy inne jeszcze dowody, podane na obronę szlachty. W okolicy korespondenta istniały dwie wspólne biblioteczki, należące do 20 uczestników. Każdy z nich na zakup książek wnosi po 10 rs., czyli wszyscy razem 200 rs. rocznie. Biblioteczka taka istnieje obecnie w pobliskiem miasteczku, druga ma powstać wkrótce na wsi. W jesieni na pewnem zebraniu obywatele ziemscy rozkupili 19 egzemplarzy dzieła Piotra Chmielowskiego p. t. „Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.“

Pomijamy inne przykłady, które są bardzo miłe, ale nie dowodzą bynajmniej, że szlachta czyta. Są oczywiście wyjątki: i jednostki, i pewne okolice można stawiać za wzór dla ziemiaństwa całego kraju; ale jeżeli weźmiemy czytelnictwo ogółu rolników, da ono bardzo smutny obraz. A nawet przykłady powyższe nie są tak świetne. Dziesięć rubli rocznie, przeznaczonych w budżecie szlachcica na książki, to nie jest taka suma, którą się chwalić można. Na lutowem zebraniu sekcyi rolnej wysłuchałem sprawozdania p. S. Chełchowskiego o gospodarstwach konkursowych włościańskich, z którego dowiedziałem się, że niektórzy chłopi wydają po 18 rs. na książki i gazety. Jedno nasze pismo ludowe ma kilka, drugie kilkanaście tysięcy abonentów w sieirmiędze. Jakiż drobny ułamek tych sum daje szlachta pismom specyalnym oraz wogóle literackim i społecznym! Prawda, że chłopów jest więcej, niż szlachty, ale nie zapominajmy, że pierwsza nie posiada analfabetów, gdy tymczasem włościan, umiejących czytać, jest stosunkowo niewielu, więc porównanie z obliczeń procentowych nie wyszłoby wcale na korzyść ziemian. Nie przedstawiają jej w korzystnem świetle także inne przykłady. Kiedy w sekcyi rolnej podano wniosek, ażeby jakiś kwestyonaryusz rozesłać ziemianom za pośrednictwem pism, odezwały się głosy przeciwne, utrzymujące, że to nie będzie praktyczne, gdyż dużo właścicieli ziemskich nie czyta gazet i czasopism. Sekcya rolna przyciąga, o ile mi się zdaje, najinteligentniejsze i najruchliwsze siły ziemiańskie. A jednak i w tej gromadce niewielkiej bardzo często się zdarza, iż ważne kwestye, dotyczące rolnictwa, a poruszone w pismach, przechodzą niepostrzeżenie.

Niegdyś, gdy było mało pism i książek, gdy ogólny poziom umysłowy społeczeństwa stał znacznie niżej, szlachta stanowiła wybitny żywioł w czytelnictwie. Dziś warunki się zmieniły zupełnie. Rzesze inteligentne śród warstw włościańskich, mieszczańskich i wogóle śród różnych kategoryj pracowników, rozwijają się coraz szerzej, potrzeba czytania rzeczy specyalnych i ogólnych wzrasta; znamy oficyalistów rolnych, którzy więcej kupują książek i prenumerują pism, niż ich zarobkodawcy. Przemysł, handel, rzemiosła, wszelkie przedsiębiorstwa, instytucye finansowe, komunikacyjne, wreszcie profesye wyzwolone, musiały swoje istnienie i rozrost oprzeć na pracy ludzi, posiadających ukształcenie wyższe, średnie lub przynajmniej elementarne. Te różnorodne, wielotysięczne rzesze w mniejszym lub większym stopniu odczuwają potrzebę czytania. Przybyli jeszcze włościanie, śród których są jednostki szczerze przekonane, że książka jest dla nich nietylko potrzebą moralną, ale i materyalną. „Ci młodzi czytają i dlatego lepiej im idzie gospodarka.“ Tak powiedział pewien chłop do ziemianina, sędziego konkursu gospodarstw włościańskich. Taki stan rzeczy nie świadczy bynajmniej, że poczucie potrzeby czytania śród mas oświeconych naszego społeczeństwa jest silnie rozwinięte. Przeciwnie — masy to czytają wogóle bardzo mało, tak mało, że nie mogą spożyć drobnej cząstki tego towaru, jaki im dostarczają nakładcy nasi. Ale jednak owe masy, chociaż mało czytające, zepchnęły szlachtę w tej mierze na plan ostatni i dziś ona w sumie odbiorców wydawnictw książkowych i peryodycznych stanowi stosunkowo najdrobniejszą cząstkę. Niewątpliwie mamy dziś już sporo ziemian światłych, oczytanych, których żywo zajmują nietylko sprawy fachowe, lecz wszelkie zjawiska naukowe i społeczne. Znamy takich, którzy po paręset rubli rocznie wydają na książki i pisma; znamy wreszcie takich, co chociaż muszą wprowadzać różne oszczędności w gospodarstwie, nie zaliczają jednak do kategoryi zbytku książek i pism. Ale wszystko to są jednostki. My zaś w wywodach swoich stoimy na stanowisku ogólnem i dlatego, niestety, rozpatrując stan czytelnictwa w kraju, nie możemy szlachty przedstawić w świetle korzystnem.

Zen. Piet.

Towarzystwo ogrodnicze.

Mamy sprawozdanie w „Roczniku“ tej instytucyi za rok ubiegły. Pod względem czynności zarządu nie podaje ono żadnego wybitnego faktu: wystawy były nędzne i przyniosły straty, konkursy nie dały pożądanego plonu, ogródki doświadczalne zawiodły, co już jest winą niedbalstwa i obojętności zobowiązujących się przeprowadzić próby, wreszcie jarmark na owoce może kiedyś się rozwinie, ale w debiucie swoim był bardzo skromnym. Zapewne członkowie zarządu, którzy mają dobre chęci i pamiętają o trudnościach, przypisują tym swoim przedsięwzięciom wielką wagę; wszakże ze stanowiska interesów i potrzeb ogółu nie możemy podzielić ich optymizmu. Ze wszech stron, nawet najżyczliwszych, Towarzystwo słyszy ciągle jedną opinię: że na losy ogrodnictwa krajowego wywiera wpływ minimalny i jest raczej instytucyą słów, niż działań, raczej ogniskiem zapowiedzi, obietnic, zamiarów, niż czynów. Ciągle tkwi ono w frazeologii, projektach, spekulacyach, tranzakcyach, obrotach handlowych, a do spełnienia właściwych zadań swoich jeszcze się nie zabrało. Gdyby przynajmniej mogło się pochwalić dobrą gospodarką pieniężną! Ale i w tym względzie komisya rewizyjna wystawiła mu niepochlebne świadectwo. „Rok sprawozdawczy — czytamy w „Roczniku“ — nie może być zaliczonym do pomyślnych, skoro dochody nietylko nie pokryły wydatków, ale nie wystarczyły na konieczną amortyzacyę i pokrycie choć częściowe należności do zapłacenia, i można wnioskować, że skoro i następne lata będą również niepomyślne, Towarzystwo bez nadzwyczajnych ofiar nie będzie mogło pokryć swych długów, a tem samem stanie się *niewypłacalnem.*“

Ten głos Kasandry powinien dać do myślenia tym, do których został zwrócony.

Towarzystwo muzyczne.

Sprawozdanie komitetu za r. 1897 wykazuje owoce działalności artystycznej i rachunki z użycia funduszów. Ostatnie są w porządku i zgodzie z budżetem. Pierwsze przedstawiają szereg notatek o koncertach, klasach gry i śpiewu, wreszcie szczegóły działania i nabytków sekcyi Moniuszkowskiej, oraz krótkie wyjaśnienie ówczesnych zabiegów stworzenia orkiestry stałej. Zdaje się, że ta mąka chleba nie da. Z trzech pierwiastków, które — według komitetu — dla złożenia tego ciała są potrzebne, dobry dyrektor i zdolni artyści znaleźliby się, ale pieniędzy z szanownych „melomanów“ i „mecenasów sztuki“ wycisnąć nie można. Śmiech bierze, gdy słuchamy i czytamy rozmaite projekty, mające osiągnąć „fundusz gwarancyjny,“ gdyż wszystkie one chcą z pogwałceniem zasady *ex nihilo nihil* nalać z pustego w próżne, zebrać pieniądze od tych, którzy ich dać nie myślą. Gdyby śród ludzi zamożnych i pragnących orkiestry istniała szczera, dobra wola, nie potrzeba byłoby dobierać się do ich kieszeni rozmaitemi sztuczkami. Niestety, tak nie jest. Wszyscy chcieliby stworzyć orkiestrę, ale cudzymi środkami; każdy myśli nie o tem, ile sam może i powinien zaofiarować, ale jakby innych — mówiąc językiem warszawskim — „naciągnąć.“

BADANIA NAUKOWE

PEWNOŚĆ SĄDÓW.

(Z powodu artykułu p. Adama Mahrburga: „Co to jest nauka?“).

W artykule p. Mahrburga: „Co to jest nauka?“, pomieszczonym w nr. 1-ym *Przeglądu Filozoficznego*, zawiera się ustęp, którego pojedyncze zdania niełatwo dają się z sobą pogodzić, a cała jego treść zostaje w sprzeczności ze stanowiskiem, z jakiego autor przedmiot swój rozważa.

Ustęp ten brzmi: „Jedne z *doświadczeń* narzucają się wszystkim umysłom z koniecznością, inne w pewnych warunkach nasuwają się umysłom tak wszakże, iż się nie widzi ich konieczności... Powszechną i oczywiście konieczną dla wszystkich umysłów sprawdzalność posiadają tylko pewniki logiczne i matematyczne, oraz na nich logicznie oparte wywody. Dlatego też sądy z zakresu logiki i matematyki mają wartość powszechnych i koniecznych, co oznaczamy, nazywając je apodyktycznymi. Sądy te są w ścisłem tego słowa znaczeniu *prawdami.* Wszystkie natomiast sądy, dotyczące doświadczenia wewnętrznego i zewnętrznego, nie narzucają się wszystkim umysłom jako konieczne, mogą być tylko przybliżeniem do prawdy. Są to więc tak zwane *prawdopodobieństwa...*

Cały ten ustęp, będący jakby odległem echem probabilizmu, grzeszy brakiem ścisłości.

Naprzód, co znaczą sądy z zakresu logiki? Czy są to sądy, stanowiące treść logiki, jako oddzielnej nauki, czy są nimi wogóle sądy, do których dochodzimy drogą dedukcyi i do których należą także sądy z zakresu matematyki? Powtóre, czy rzeczywiście pewniki logiczne i matematyczne narzucają się *wszystkim* umysłom z koniecznością? O ile mi wiadomo, statystyki pod tym względem nikt dotąd nie przeprowadził, a w każdym razie pewnem jest, iż dla uznania tej prawdy, że całość jest większą od części, że prosta linia jest najkrótszą drogą między dwoma punktami, potrzeba wiedzieć z doświadczenia, czem jest prosta linia i droga.

Autor utrzymuje, że sądy z zakresu logiki i matematyki jedynie są prawdziwe. Dlaczego? Dlatego, że opierają się na pewnikach. Czy tak się ma rzecz istotnie? Najznakomitsi logicy stanowczo temu przeczą, twierdząc, że pewniki w niczem nie dopomagają w naszych rozumowaniach, że nie na nich, ale na uogólnieniach doświadczalnych opieramy swe wnioski. Zresztą, przypuśćmy nawet, że sądy z zakresu logiki i matematyki mają wartość powszechnych i koniecznych dlatego, że opierają się na pewnikach, to zachodzi pytanie, skąd pewniki posiadają taką władzę? Jeżeli mają one początek naturalny, tj. pochodzą z doświadczenia, to muszą dźwigać na sobie pierworodny grzech wszelkiego doświadczenia, a mianowicie mogą być tylko prawdopodobieństwami. Skoro zaś autor uznaje je za prawdy powszechne i konieczne, to chyba dlatego, że wyznacza im początek nadnaturalny, że źródło ich upatruje po za doświadczeniem. Temu atoli przypuszczeniu sam zaprzecza stanowczo w początkowem zdaniu przytoczonego powyżej ustępu. Powiada w nim bowiem wyraźnie, bez jakichkolwiek zastrzeżeń, że jedne z doświadczeń narzucają się z koniecznością. W innym także ustępie, dając treściwe określenie nauki, mówi: „Nauka jest systemem pojęć i sądów, mającym ogarniać wszelkie dostępne doświadczenie.“ Słowem, wszędzie mówi tylko o doświadczeniu, w niem widzi jedyne źródło naszej wiedzy.

Lecz z tem stanowiskiem autora jak pogodzić jego podział doświadczenia na konieczne i niekonieczne, podział sądów na prawdziwe i prawdopodobne? Skoro wszystkie sądy pochodzą z doświadczenia, to wszystkie muszą być prawdopodobne. Chyba że autor uznaje za jedyny probierz prawdy „narzucanie się jej wszystkim umysłom z koniecznością.“ Pomijając już, że takie kryteryum czysto podmiotowe jest bardzo niepewne i zawodne, jak o tem świadczą liczne przesądy, narzucające się z koniecznością, a z drugiej strony fakt, że dotąd nie zdołano jeszcze wykazać, jakie to są prawdy, które *wszystkim* umysłom narzucają się z koniecznością i czy są takie wogóle — można się powołać na samego autora, który, oprócz narzucania się umysłom prawdy z koniecznością, wymaga jeszcze jej sprawdzenia. Oto są jego słowa: „Nauka jest systemem pojęć i sądów, mającym ogarniać wszelkie doświadczenie konsekwentnie i *sprawdzalnie*.“ Bardzo dobrze. Ale w takim razie musimy żądać odpowiedzi na pytanie: w jaki sposób doświadczenie, które jest tylko prawdopodobieństwem, może być uznanem za sprawdzian sądów z zakresu logiki i matematyki, które są prawdami? Czyżby autor robił wyjątek pod tym względem z owych sądów i uznawał, że sama ich konsekwentność wystarcza do przyznania im prawdziwości. Lecz cóżby na to powiedziały wszystkie owe systemy spekulacyi filozoficznej, którym pod względem konsekwentności nic zgoła narzucić nie można, a które pomimo to nie są czem innem, jak wspaniałymi zamkami na lodzie? Co powie geometrya nie-Euklidesowa, której pod względem ścisłości logicznej nic zarzucić nie można, a która dochodzi do wniosków wręcz przeciwnych warunkom naszego doświadczenia?

Nie ulega wątpliwości, że pewniki logiczne i matematyczne *narzucają się* nam z koniecznością, gdyż oznaczają one stosunki rzeczy, które ujmujemy bezpośrednio za pomocą tak zwanej intuicyi zmysłowej; również pewnem jest, że wnioski, wywiedzione z pewnego założenia, są dla nas konieczne, jeżeli odpowiadają wymaganiom konsekwencyi logicznej. Z tem wszystkiem konieczność ta nie stanowi jeszcze rękojmi ich prawdziwości. Konieczność ich jest czysto formalna, zależy wprost od przyjęcia pewnego sądu za przesłankę. Dlatego też pomimo całej ścisłości logicznej, z jaką wyprowadzone są wnioski z przyjętego założenia, będą one o tyle tylko prawdziwe, o ile prawdziwem będzie założenie. Stąd w pierwszym rzędzie musi podlegać sprawdzeniu założenie, którem jest zwykle uogólnienie indukcyjne, a następnie dopiero ostateczne jego wnioski. Sprawdzeniem założenia zajmuje się doświadczenie, jego zaś wniosków — porównanie z prawdami, powszechnie uznanemi. Prawdami takiemi są właśnie uogólnienia indukcyjne. Prawdy te, raz sprawdzone z całą ścisłością naukową, są dla nas tak samo pewnemi, jak twierdzenie, że w trójkącie prostokątnym dwa kąty ostre równają się prostemu.

Słusznem jest twierdzenie autora, że doświadczenie nie daje się wyczerpać. Z tego atoli nie wynika jeszcze wniosek, że przyszłe doświadczenia mogą wręcz zaprzeczyć przeszłym, chociażby dokonanym w warunkach, odpowiadających wszelkim wymaganiom naukowym. Przyszłe doświadczenia mogą pogłębić, rozszerzyć, sprostować pod wielu względami doświadczenia przeszłe, ale obalić mogą tylko te z nich, które nie są sprawdzone i sprawdzić się nie dają w obecnych warunkach naszej wiedzy. Że woda składa się i składać się będzie zawsze z tlenu i wodoru, połączonych z sobą w pewnym ściśle oznaczonym stosunku, jest taką samą prawdą, jak to, że część jest mniejsza od całości. Prawda ta nie przestanie być prawdą nawet wtedy, gdy się okaże, że tlen nie jest pierwiastkiem, lecz ciałem złożonem. Pogłębi to nasze pojęcie o wodzie, ale go nie zmieni, zmieni tylko nasze pojęcie o tlenie.

Niezawodnie, że między takim np. sądem, jak: część jest mniejsza od całości, a sądem, dotyczącym składu wody, jest pewna różnica pod względem widoczności. Pierwszy narzuca się nam z większą koniecznością, niżeli drugi. Przyczyna tego wszakże nie leży w tem, że jeden z nich jest prawdziwszy od drugiego, ale w tem, że posiadają one różny stopień ogólności. Sądy o większym zakresie oznaczają stosunki prostsze, powszechniejsze i stalsze, zależne od warunków, które dokładniej dają się wyznaczyć; sądy zaś o mniejszym zakresie oznaczają stosunki mniej lub więcej złożone, zależne od licznych warunków, które nie zawsze można wykryć, a zatem mniej powszechne i niestałe. Pomimo to, skoro raz zostały oznaczone warunki pewnego zjawiska, sąd, dotyczący stosunku jego do owych warunków, jest tak samo pewny, jak i każde twierdzenie z geometryi, jak i każdy wniosek, logicznie wyciągnięty ze sprawdzonej przesłanki. Oznaczywszy warunki normalne, w jakich promień światła przebywa swą drogę, załamuje się i odbija, możemy być pewni, że w tych warunkach zawsze będzie miał taką samą prędkość i pod takimi samymi kątami będzie się odbijał i załamywał. Słowem, jeżeli wnioski dedukcyjne narzucają się nam z większą koniecznością, niżeli uogólnienia indukcyjne, dzieje się to nie wskutek tego, że są prawdziwsze od ostatnich, ale dlatego, że ich racya jest widoczniejszą, że dość odwołać się do przesłanki, ażeby uznać słuszność jej wniosku. Ostatecznie jednak pozostaje jeszcze pytanie, czy i o ile sama przesłanka jest prawdziwa. Ponieważ każda przesłanka nie jest niczem więcej, jak uogólnieniem doświadczenia, przeto wnioski dedukcyjne, z niego wyciągnięte, nie mogą mieć żadnego przywileju pod względem prawdziwości wobec wniosków indukcyjnych. Jedne i drugie są albo prawdami, gdy są sprawdzone, albo prawdopodobieństwami, gdy są tylko domysłami, mającymi pewne oparcie w doświadczeniu, ale niemającymi ostatecznego jego stwierdzenia, które polega na ścisłem określeniu warunków, w jakich pewien fakt zachodzi.

Przypisywanie sądom, dotyczącym doświadczenia, charakteru prawdopodobieństwa, pochodzi z niedokładnego pojęcia zasady przyczynowości. Nie oznacza ona nic innego, jak stały i niezmienny stosunek do siebie rzeczy, które mocą posiadanych własności oddziaływają na siebie wzajemnie. Wzajemne oddziaływanie na siebie rzeczy stanowi przyczynę, wypadek tego oddziaływania — skutek. Otóż dopóki porządek świata pozostanie ten sam, to i rzeczy jego te same będą mieć własności i w ten sam sposób będą na siebie oddziaływać, czyli że te same przyczyny będą miały te same skutki i odwrotnie. Powie kto może, że to właśnie nadaje sądom empirycznym cechę prawdopodobieństwa, że nie wiadomo, jak długo będzie trwał obecny porządek świata. Lecz czy inaczej się ma z sądami z zakresu logiki i matematyki? Jeżeli ich prawdziwość zależy od porządku świata, to ich konsekwentność przedewszystkiem od ustroju naszego umysłu.

Władysław Kozłowski.
(*Lwów*).

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WE LWOWIE.

Antoni Chołoniewski jest dziennikarzem prawdziwie *fin de siècle*, jednym z tych, dla których bruk lwowski jest stanowczo za ciasny. Artysta prawdziwy o wysubtelnionych uczuciach, kalejdoskopowo zmieniającej się duszy i wykwintnym, jak koronka, stylu — człowiek taki, siłą stosunków rzucony w piekiełko kuźni dziennikarskiej, czyż to nie bohater dramatu? Na szczęście widzimy w jego pracach jeszcze jeden rys, także zupełnie nowoczesny: humor sceptyczny, filozoficzny, płynący ze zrozumienia wielu rzeczy, strzałami dowcipu broniący się przed potężnymi, lecz niezgrabnymi cyklopami owej kuźni. To pozwala mu zachować wszędzie stanowisko odrębne. Nie stwarza to człowieka zasad, lecz estetę, nie apostoła, lecz krytyka i sybarytę, dającego innym użycie.

Tylko taki człowiek mógł z pewną racyą wydać charakterystykę mocarzy literatury we Lwowie, z wysokości swojego krytycyzmu i — dowcipu, mianując ich „Nieśmiertelnymi.“ Nie będąc „niewolnikiem zasad“ — nie będzie się też zamykał w ciasnych ramach partyi i partyjki; wrażliwy tylko na silne piękno i wielkość — będzie wogóle sceptycznie przypatrywał się wszystkim jaśniejącym na bruku posągom, do każdego podejdzie i opuka: marmur to, czy też... pomalowa-

na blacha. Taki człowiek jednak, przepojony nawskroś subjektywizmem, będzie nieraz niewolnikiem swoich nerwów, chwilowych sympatyj i antypatyj, będzie widział świat w promieniach ich odczucia. Znamiona powyższe odnajdujemy w charakterystyce naszych lwowskich „nieśmiertelnych."

Nieśmiertelni — i we Lwowie?

Przeglądam właśnie najnowsze wydanie „Zarysu" Chmielowskiego — najsumienniejszy ten bibliograf krytyczny o literaturze lwowskiej, o kwiatach egzotycznych nad brzegami Połtwi-Gangesu nic prawie nie wie... We Lwowie bowiem literatury niema, jest tylko trochę literatów, a i ci są właściwie tylko dworakami pięknej pani-literatury; należą więc do jej familii, ale mogą się też w niej kochać, życie spędzają wszędzie, gdzie mają chleb i zabawę, a do niej przychodzą w chwilach odświętnych, w chwilach rzadkiego podniecenia lub częstych nudów.

Lwów — powiada p. Chołoniewski — nie jest miastem literackiem. Nie był niem wogóle nigdy. Nietylko nie stworzył sam żadnych oryginalnych prądów umysłowych, ale nawet pożyczonych nigdy w sobie silnie nie skoncentrował. Jest to zresztą właściwością wszystkich miast kresowych. Niejednolita ludność, zmieszana z najróżnorodniejszych pierwiastków wschodnich, kryjąca pod wspólną etykietą ziepek polski, rusiński, żydowski, ormiański i tatarski, zajmowała się zawsze tylko handlem i obroną przed najazdami. Anomia ta przeszła drogą spadku na dzisiejszą rzeszę literacką. Oddycha ona leniwo, letargiczne, rozpryśnięta na luźne ogniki, które nie mają w sobie dość sił żywotnych, aby wyjść po za nikłe koło naśladownictwa i zaświecić oryginalnem, własnem światłem. Jedyna wybitniejsza cecha, jaka kiedykolwiek pojawiła się w tutejszym świecie literackim, nadając mu pewien charakter, przypada na okres t. zw. „cyganeryi" (Lam, Dzieduszycki, Stebelski, Zagórski, Sabowski, Czerwieński); ale popierwsze tłem, na którem ona wybujała, było raczej rozpolitykowane dziennikarstwo, aniżeli literatura i sztuka; powtóre zaś był to objaw czysto zewnętrzny, dekoracyjny, rodzaj ram, jednoczących w sobie nie tyle głowy, ile — gardła literackie. Dziś nawet ten powierzchowny rys zatarł się i literaci lwowscy przedstawiają szarą, nie niemówiącą klasę ludzi, których wspólną nić stanowi papier i czernidło drukarskie.

Powyższe uwagi ogólne zawierają w sobie bezsprzecznie dużo prawdy. Nie tłomaczymy sobie jednak braku we Lwowie literatury wyłącznie charakterem kresowym miasta. Chodzi tu poprostu o całą „młodszość cywilizacyjną," którą wskazał Szujski. W Galicyi wschodniej występuje ona na tle mieszanin i antagonizmów narodowościowych i ekonomicznych: z jednej strony mamy szlachtę, kolonizatorów, więc bynajmniej nie estetycznie usposobioną, z drugiej — ludność, cierpiącą od wieków to skutkiem najazdów tatarsko tureckich, to pod panowaniem starostów kaniowskich, zluzowanych następnie przez mandataryuszów austryackich, nareszcie w wirze walk rasowo-politycznych, toczonych wśród drgań zamierającej produkcyi małorolnej i małomieszczańskiej, tudzież wśród ciemnoty milionów analfabetów. Jeżeli uważamy literaturę za produkt pewnego nastroju duchowego, pojmiemy, iż w tych warunkach silny, jednolity prąd umysłowy nie mógł się wyrobić. Była jednak chwila, kiedy istniał, p. Chołoniewski go przeoczył. Moment to, w którym cała inteligencya tego szmata kraju zespoliła się istotnie jedną myślą, jednym duchem: walka z absolutyzmem i germanizacyą epoki Metternicha. W ogniu tym topniały nawet chińskie mury wyłączności, w r. 1848 mieliśmy Rusina Iwana Naumowicza i Żyda Rapaporta, walczących razem z Janem Dobrzańskim — śpiewających jedną i tę samą pieśń nadziei. Lwów stał się stolicą ideologii kraju. Naprzód koło *Dziennika Mód*, potem koło Ossolineum, nareszcie koło *Dziennika Literackiego* skupiła się drużyna pisarzów, między nimi Dobrzański, Pol, Szajnocha, Ujejski, Kaczkowski, Leszek Borkowski, Zacharyasiewicz, Bielowski (że też wspomnę tylko najwybitniejszych) i wytworzyli atmosferę umysłową, która się rozlała na całą Galicyę wschodnią, czyniąc ją w swoim czasie bardziej myślącą i postępową, niż Krakowskie, pogrążone w dewocyi i przygnębione po wypadkach 1846 r. Z początkiem ery konstytucyjnej ideologia musiała ustąpić miejsca praktyce, literatura — polityce, wszystkie poczyą znarkotyzowane namiętności i antagonizmy wystąpiły z całą siłą. Lwów stał się stolicą „tromtadracyi" kraju. Historyę epoki konstytucyjnej można traktować z punktu widzenia walki Galicyi wschodniej z zachodnią. Pierwsza wyrobiła w sobie pod wpływem mnóstwa przyczyn historycznych pewien temperament wojowniczy, opozycyjny i ten żywioł uczuciowy wniosła też do życia publicznego; zachodnia — spokojniejsza, od wieków zostaje pod wpływem możnowładców i polityków, kierowała się pierwiastkiem dyplomacyi, chłodnego rozumu stanu. Kraków zwyciężył. W początkach ery konstytucyjnej wodzili w wiedeńskiem Kole polskiem rej lwowianie Smolka i Ziemiałkowski: kraj wówczas zyskał wszystkie zdobycze autonomiczne; w ostatnich czasach przewodnicżą Dunajewscy i Badeniowie, oraz stojący za nimi Szujski, Tarnowski, Koźmian. Walka polityczna na dwu frontach (bo w Galicyi zachodniej niema Rusinów) wyczerpała we Lwowie wszystkie siły i umysły; ludzie wśród niej skarleli, protestując przeciw jednostronnym hasłom rozumu stanu i pracy organicznej, idącej z zachodu, wpadli w obskurantyzm (Giller, Zielińscy it. d.), a na tem tle wyrobiło się ogólne obniżenie kultury, zanik życia umysłowego, zepsucie lub upadek talentów.

Ze stanowiska rozwoju oraz idei znalazłby się tedy sposób „ugrupowania pół setki głów," którą p. Chołoniewski zebrał na literackim gruncie Lwowa. Ciekawe byłoby to studyum psychologiczne, owa ewolucya talentów w kierunku od literatury uczuciowej, patryotycznej, szczerej i gorącej, której epigonami Czerwiński, Urbański, Stebelski — do ciasnego oportunizmu, mającego swój wyraz w uprawianiu powieści historycznych, optymizmu literackiego, ideałów religijnych. Takiej jednak historyi od p. Chołoniewskiego żądać nie można, nie jest on ani „społecznikiem," ani uczonym, tylko impresyonistą. Rzuca więc fotografie „momentalne," a choć zbiór obrazów nie jest galeryą, choć pracy jego brak myśli przewodniej i pogłębienia — jesteśmy dostatecznie wynagrodzeni jej zaletami.

Z dowcipem i finezyą kreśli p. Ch. swoje figury, co mu nie przeszkadza uderzać w ton poważny, schylać z szacunkiem czoło, gdy staje przed postacią artystycznie imponującą. Taką jest np. stary Karol Brzozowski. „Wśród modnej literackiej drużyny, której twórczość wymaga koniecznie spokojnych i wykwintnych ramek, robi wrażenie obozowego barda, piszącego wiersze z pistoletami w zanadrzu, w atmosferze krwi i prochu. W każdym razie nie czerpał natchnienia w magnetycznym blasku miesiąca, ani w smutnym nastroju zakochanego serca. Jego poezya brzmi jak orgia wojenna, dzika, męzka i żywiołowa." Czujemy tutaj zachwyt artysty wobec silnej indywidualności — nie zdolności. Zmysł artystyczny zatrzymuje się wogóle chętnie przy postaciach, które uderzają malowniczym, bodaj trochę fantastycznym charakterem; język staje się wówczas bogatym, egzotycznym i barwnym. Oto jak charakteryzuje Jana Grzegorzowskiego: „Ahasverus literacki. Wygląda jak pielgrzym albo Farys, któremu kazano żyć wśród modnej cywilizacyi bez konia, bez strzelby i kindżału. Wysokością i szczupłymi wymiarami przypomina palmy, kwitnące w piaskach Arabii. Jest jednym z najsympatyczniejszych i zarazem najegzotyczniejszych na gruncie literackim Lwowa, gdzie jego chuda postać, owinięta w fałdy czekoladowego hawelocka, z nieodłączną fajeczką w ustach, z malutkim okrągłym kapelusikiem na głowie, zdaje się jak cień przesuwać wśród tłumów ludzkich. Natura idealna, poetyczna i uczuciowa. Ukrainiec. Mówi cicho, melancholijnie, z odcieniem serdecznego dźwięku w głosie. Pół życia przepodróżował po Wschodzie, a długi czas przesiedział w Persyi, gdzie w Sziras założył drukarnię europejską itd."

Równocześnie odczuwa też autor i umie czcić wielką pracę, talent i charakter, gdzie je tylko dostrzega. Pióro jego nabiera wówczas powagi, siły i miłości. Tym tonem pisze np. o Ludwiku Kubali, Henryku Biegeleisenie, Janie Kasprowiczu — nie mogę niestety dodać *itd.*, gdyż galerya postaci tego rodzaju jest w oczach naszego autora bardzo szczupłą. Najwięcej typów dostarcza oczywiście złota mierność. Jak wszędzie, jest ona i we Lwowie nadzwyczaj płodną i szychem swoim zupełnie zasłania widnokrąg; najwięcej przystosowana do poziomu, najwięcej też przyjęła się i stanowi niezorganizowane, ale siłą naturalnego ciążenia skupione i masą swą imponujące towarzystwo wzajemnego kredytu, wzajemnej admiracyi i asekuracyi. P. Chołoniewski staje wobec tej potęgi z uśmiechem sceptycyzmu, często głośno drwiący, a odwaga, z jaką to czyni, przynosi zaszczyt jego charakterowi. Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia za długiej może próbki. Oto np. jak z bliska wygląda okrzyczany przez prasę oportunistyczną, jako wszechstronny geniusz, hr. Wojciech Dzieduszycki. „Postać emerytowanego giganta. Wysoki, nachylony, o potężnych barkach. Chód ociężały i niezgrabny. Szpakowata, nieuczesana czupryna i na dół po kozacku spadające wąsy. Wygląda, jakby mu zawsze było gorąco. Oczy otoczone lekką różową obwódką i występujące silnie z opraw. Filozoficzne zaniedbanie w stroju. Przed laty jako posła nie chciano go wpuścić do parlamentu z powodu różnych niekompletności w ubraniu. Mieszanina barbarzyńcy z człowiekiem kulturnym w najdziwaczniejszem znaczeniu — kozacka natura, zafarbowana cywilizacyą zachodnią. O ile nie wykłada estetyki i filozofii we Lwowie, gdzie mu przyszedł kaprys być docentem uniwersytetu, albo nie robi polityki w Wiedniu, mieszka w dziedzicznym Jezupolu i jest tam do pewnego stopnia tem, czem był książę Panie Kochanku dla Nieświeża, a Mikołaj Potocki dla Kaniowa. Potomek ruskich feodałów, stracił jednak wiele na przymusowem wtłoczeniu go w ramy społeczeństwa schyłkowego. Jest w swoich ekscentrycznościach mniej oryginalny, niż tamci. Gdyby żył przed stu laty, strzelałby niezawodnie do Żydów i prowadził wojny z sąsiadami. Dziś to jest niemożliwe. Trzyma sobie tylko służbę w starych kozackich strojach, po kozacku ubiera i wychowuje syna. We Lwowie miewa okresy studentomanii. Otacza się wówczas młodzieżą szkolną, urządza jej małe biby, poczem osobiście prowadzi „gąsiora" przez miasto. Przybycie jego do stolicy na zimę zapowiada zawsze pojawienie się nadwornych kozaczków w czarnych guńkach i szerokich szarawarach. Lubi słodycze i w cukierni każe sobie ciastka chłopcom wkładać do ust.

Śmieje się, wyrzucając z siebie staccato literę *a*. Przypomina wtedy stepowego rumaka. Jako literat i uczony podobny jest do olbrzymiego muzeum, w którem nagromadzone są bez numerów i katalogu, w chaotycznym nieporządku, najcenniejsze przedmioty. Zna się na wszystkiem i pisze o każdej sprawie z jednakową swobodą. Książki jego traktują o filozofii, estetyce, malarstwie, archeologii, wychowaniu, ekonomii, polityce. Badał starożytności egipskie i układał wiersze, szukał kolebki ludów, pisał dramaty i powieści. Te ostatnie są zarówno długie, jak nudne i mogą być używane z powodzeniem jako środek na sen („Święty ptak," „Mieszane małżeństwo"). Napisał nawet poemat, przewyższający rozmiarami dwa razy „Pana Tadeusza" („Baśń nad baśniami," dwa tomy, 20,000 wierszy). Książka „Ateny" zjednała mu popularny tytuł „podolskiego Ateńczyka" i świadczy o bardzo gruntownem znawstwie sztuki, równie jak „Historya malarstwa we Włoszech." Przed dwoma laty studyował gorliwie hypnotyzm i usypiał swoich kozaków — nudami."

Tym samym stylem ciętym i plastycznym, dyktowanym przez doskonałą znajomość ludzi i rzeczy, jest pisana większa część sylwetek. Nietrafności i subjektywizmu można się dopatrzyć miejscami tylko przy traktowaniu najmłodszej generacyi.

„Nieśmiertelni" p. Chołoniewskiego, mimo fejletonowego tonu, zostawiają poważny materyał psychologiczny dla poznania pewnego zakątka naszej literatury.

W.

Arnold Boecklin.

(Wrażenia z wystawy berlińskiej).

Na zielonej murawie śpi, ukołysana ciszą leśną, napół naga Dryada. Z za drzewa wychyla się postać Fauna. Podkrada się on cicho, trzymając palec na ustach — boi się ją zbudzić. A on nie pragnie podejść do niej bliżej, obnażyć jej zupełnie lub nawet uchylić rąbka błękitnej opony, by zbadać całą tajemnicę jej wdzięków, którymi nęci go wciąż ku sobie tak uparcie. Niemy z zachwytu pożera ją wzrokiem, wsłuchuje się w jej oddech miarowy, upaja się nim i pieści w myśli jej białą, wypukłą, dziewiczą pierś...

Na tym obrazie pod postacią głębokiej alegoryi uzmysłowił Böcklin stosunek artysty do przyrody. Śpi dla artysty przyroda - dryada, do snu ukołysana przez ciszę - tajemnicę. I jest piękną... Po cóż ją budzić? Po co pytać, jakie zaklęcia szeptała u jej kołyski piastunka - tajemnica? Może czar wtedy pryśnie?

On, Faun - artysta, pragnie oczyma *własnej* duszy przeniknąć jej niezgłębione tajniki, pragnie *sam* siłą swej wyobraźni twórczej odczuć jej sny fantastyczne.

Pod każde zjawisko natury, jakby pod martwe słowa bez pieśni, podkłada Böcklin melodyę, jaka mu w duszy śpiewa i rzuca ją na płótno w postaci cudnie sharmonizowanej gamy barw, świateł i cieni...

Wiosna! Mamy zaraz na myśli krajobraz, jakich widzieliśmy tysiące, ze świeżą, zieloną trawką, z pasącemi się na niej krówkami lub z parą rozmarzonych kochanków. Bywa to i ładne czasami, ale jakie banalne i oklepane! Dla Böcklina wiosna, to młoda, o złotych włosach dziewczyna, która gra na harfie.. U stóp jej klęczą dwa aniołki z wiankami pierwiosnków na główkach — to uosobienie kwiatów. Podniosły oczy ku górze — i słuchają.. A słuchają tak wymownie, jakby powiedzieć chciały: „Ciężko nam było w letargu zimowym; ciężko i smutno. Tony twej harfy zbudziły nas znów do życia — dzięki ci za to. I patrząc na ten obraz, czujesz, jak pierś ci się rozszerza, jak serce bije rozmarzonem tętnem, jak i w twojej duszy budzą się kwiaty wiosennych porywów i marzeń młodzieńczych.."

Na ziemię spływa mrok letniego wieczoru, a za nim ciągnie nieprzebrany korowód niezrozumiałych, nieuchwytnych tonów. Kołyszą się w powietrzu jakieś szmery, skargi jakieś, czy westchnienia.. Ogarnia cię niepokój. Istne czary... To Satyr gra na fujarce („Satyr w trzcinie"). Przykucnął wśród zielonej trzciny i sitowia nadrzecznego, tworzy symfonię letniego wieczoru...

Czy wiecie, co to jest burza na morzu? Ot fale, pędzone wiatrem złowróżbnym, gonią jedna drugą, uderzają się o siebie i w pianę rozpryskują. I stąd te głuche jęki, te ryki i chichoty naprzemian? Nie, w tem niema poezyi, to nie wystarcza dla wyobraźni Böcklina. On widzi w burzy morskiej pląsy najady, słyszy rozpasany, szyderczy śmiech trytona uwodzącego wystraszoną syrenę o niebieskich oczach, i groźne nawoływanie Neptuna, siedzącego na grzbiecie wysokiej fali. Taka żywiołowa potęga bije z togo obrazu („Gra fal"), że tracimy świadomość przestrzeni. Zdaje się, że to morze zaczyna się gdzieś w nieskończoności, że rozszerzają się ramy i spienione fale uniosą cię, jak piłkę... A jaki realizm w wykonaniu szczegółów! Jaki umiar artystyczny w cieniowaniu tonów morza: niebieska barwa tak cudnie kojarzy się z zieloną, że mamy złudzenie, jakoby jedna co chwila zastępowała drugą, a obie potem zlewały się w nieskazitelną biel piany morskiej. Z włosów syreny można, zda się, wyżąć wodę, a z nóg jej zedrzeć błyszczącą łuskę.

Taką jest większość Böcklinowskich pejzażów. Jak odskakują gwałtownie od zwykłej modły! Tu jest poezya, a tam robota malarska, którą mógłby wykonać każdy z nas, gdyby uczęszczał do akademii. Tu jest talent twórczy, a tam nieudolne zazwyczaj naśladowanie przyrody.

Jeżeli pod względem pojmowania przyrody nazwiemy Böcklina niemal poganinem, który imponuje nam „schyłkowcom", swoją siłą żywiołową, to przeglądając inną seryę jego obrazów o treści odrębnej, niż poprzednie znajdziemy w nim bratnią duszę, subtelną, jak mimoza, reagującą na każde drgnienie współczesnej myśli.

I Böcklin uosabia cierpienie i boleść w postaci Madonny, jak czynili to przed nim malarze wszystkich wieków bez różnicy szkoły, której byli wyznawcami. Ale jak odmiennie ją pojmuje! Jego Madonna, to nie ta Rafaelowska, w której oczach widać głębokie cierpienie, ale i bezwzględną rezygnacyę; ani Madonna Carla Dolci ze spuszczoną głową i niemym spokojem na twarzy; ani Madonna Murilla ze słodkim uśmiechem na ustach, choć ze łzą w oku. Madonna Böcklina, to współczesna kobieta z oczyma czerwonemi od krwawych łez, wypłakanych w samotności (Madonna). Cierpienie swe i boleść chowa głęboko na dnie duszy i nie wynosi ich na targowisko.. Taką jest w jednym z najpiękniejszych obrazów Böcklina, w „Pieta." Na zimnym marmurze leży trup Chrystusa.. A nad nim klęczy przykryta niebieską chustą postać kobieca. Twarzy nie widać zupełnie, wysunęła się tylko ręka zaciśnięta kurczowo i obejmuje martwe ciało. Cała figura jest tak wspaniałą w układzie, taką prawdziwą drga rozpaczą, że słyszysz jej łkanie tłumione, widzisz, jak nią wstrząsają i odczuwają całem jestestwem jej boleść bezmierną.

I Promenteusza pojął Böcklin w zupełnie współczesnym stylu. Leży przykuty do wysokiej, stromej skały. A spowijają go tak gęste obłoki, że cała postać zlewa się niemal z nimi i trudno nawet dojrzeć ją odrazu... Na tem słabem, chwiejnem zarysowaniu konturów Prometeusza polega, zdaje się, główna myśl obrazu. I on walczył za ideę, jak tytan... I on niósł w ofierze ludzkości ogień młodzieńczych porywów... Naprożno! Taż sama ciemność na nizinach, jaka była przed nim! Więc za co cierpi? Czy nie żal młodości, strawionej w pogoni za ułudą? Czy nie żal? I ciężkie, ołowiane chmury padają na jego duszę promienną. Traci wiarę w świętość swego posłannictwa, brak mu sił cierpieć dłużej, umiera ze skargą na ustach..

Jeszcze większym smutkiem tchnie maleńki obrazek (nie pamiętam tytułu), na którym widzimy Charona siwowłosego, wiozącego przez Letę umarłe dusze. Z poza ramy wychylają się dwie lub trzy twarze tylko, zmęczone i smutne... Zdaje się jednak, że za chwilę łódka posunie się dalej i ukażą się nam niezliczone rzesze takich twarzy, stygmatem męczeństwa napiętnowanych. Charon ogląda się, chce się przekonać, czy droga jeszcze daleka. Ciężko, ciężko wieść całą nędzę ziemi przez rzekę zapomnienia! Dobijają wreszcie do lądu. To „Wyspa śmierci" (inny obraz). Na szklaną taflę jeziora o barwie ciemnobłękitnej (szczególnie przez Böcklina ulubionej) rzucił kępę wysokich, smukłych cyprysów...

Na obrazie panuje cisza cmentarna. I w nas powoli zamiera coś w piersiach. Zdaje ci się, że po przez tę ciszę słyszysz chwilami nieuchwytny prawie szept cyprysów: „Chodźcie do nas, wszystkie znużone dusze ludzkie! Tu znajdziecie odpoczniecie po ziemskiej tułaczce."

Mógłbym jeszcze na zakończenie powiedzieć coś o wspaniałej technice malarskiej Böcklina, o chłodzie, jaki wieje z jego marmurów, o martwocie i chropowatości jego kamieni polnych lub o drzewach z popękaną korą... Wolę jednak uwypuklić w umysłach czytelników duchową sylwetkę tego malarza, nadając mu miano „nastrojowca-symbolisty." Przy pomocy symbolów spowiada się przed nami z nastrojów swojej duszy, która buja skrzydlata po szerokich przestworzach i z zewnątrz czerpie natchnienie lub też cicha i smutna duma o własnej głębinie...

Maur. Born.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WYDAWNICTWA ZBIOROWE. W „Bibliotece dzieł wyborowych" wyszły: „Szkice i obrazki" M. Gawalewicza, „Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi" P. Chmielowskiego.

— W „Bibliotece przemysłowej," wydawanej przez H. Wawelberga: „Zasady magnetyzmu i elektryczności," wyłożone dla uczniów elektrotechniki przez A. Jamiesona, uzupełnione przez Kollerta, przetłomaczone przez Stetkiewicza (492 str., cena 1 rs.).

— „Dziejów powszechnych ilustrowanych" wyszły z. 208—212.

— „Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek XIX w.," z. 2.

— „Historyi literatury powszechnej" W. Gostomskiego, z. 4.

— „Obrazu literatury polskiej" P. Chmielowskiego, z. 7.

— „Encyklopedyi powszechnej" Orgelbranda, z. 19-ty.

POWIEŚCI. Arwor: „Na giełdzie cnoty" (254 s.). Gebethner i Wolff.

— K. Rojan: „Szczęście" (dwa tomy 199 i 202 str.) Gubrynowicz i Szmitt.

HISTORYA. K. Góralczyk (W. Anczyc): „24 obrazków (tak!) z dziejów polskich" (183 str., 50 kop.) Gebethner i Wolff.

MATEMATYKA. A. Witkowski: „Zasady fizyki," tom II, z. 1 (300 str., 1 rs. 35 k.).

HUMORYSTYKA. Kroguleo: „Bismarck w satyrze."

POEZYE

SERYA IV.

Z CYKLU „GWIAZDY“.

I.

Syryusz! Cudzie gwiazd! Gdy patrzę w ciebie,
W twój wieczny spokój, w tę ciszę nadbytu,
W niezmierną oddal twojego błękitu,
W twe wiekuiste istnienie na niebie:

Dusza się moja smutna wraca w siebie,
I ból się rodzi z mojego zachwytu—
I dusza, pełna bolesnego zgrzytu,
Opada z nieba i w prochu się grzebie.

Twe cudne światło zimne, jak blask stali,
Niezmienne, jasne, głuche, świeci w górze
Twarde, tak dyament... Niech się świat zawali,

Wasze, o gwiazdy, nie zadrgną podróże —
Jesteśmy łódką na szalonej fali,
Bo niema żadnej miłości w naturze.

II.

I oto pyłem w ten bezmiar rzuceni
Patrzymy w górę — wieczny symbol wzroku —
Mijając szybko, jak fale w potoku,
Który trwa wiecznie wśród jednych kamieni.

Każdy z nas w ziemskiej zamknięty przestrzeni,
Symbolem tylko jest w bezkreśnym toku
Ludzkiego życia; giniemy z widoku
Bez śladu, na kształt bezistotnych cieni.

Wy tylko, gwiazdy, wy tylko zliczycie
Te warstwy bytów, co przez lat otchłanie
Trwały i nikły, aby nam dać życie —

I nas w wiecznej poznacie przemianie,
Bo jeden tylko jest gorzki cel w bycie:
Ażeby miał swe wiekuiste trwanie.

III.

(Sonet premiowany na konkursie „Życia“).

Syryusz! Gwiazdy! Przed wieków milionem,
Gdy ziemia była wiosenną i młodą
I lśniła wiecznie kwitnącą pogodą
Pod niebem wiecznie w bezmiar rozzłoconem

Czy nie błądziły w uroczysku onem
Nad oceanów nieprzejrzaną wodą
Wówczas sny, cienie z aniołów urodą,
Będące ciszą i światłem wcielonem?

Mówcie! Czy jasne te, pradawne cienie
Oceanową zadumane głuszą,
Po wirze przemian, co się nieskończenie

Rodzą ze siebie i okwitłe głuszą:
Nie są w nas, własne straciwszy istnienie,
Błękitem nieba zadumaną duszą?..

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

W DALI.

Lublin. Ziemanie lubelscy dnia 12 z. m. zawiązali Towarzystwo udziałowe, celem założenia w Lublinie obok stacyi kolejowej wielkich magazynów warrantowych. Na skład ma być przyjmowane zboże, wełna, chmiel, wogóle produkty gospodarstwa wiejskiego. Do zakresu działalności Towarzystwa należeć będzie nadto: wydawanie zaliczeń na zastaw złożonych w składach towarów, przyjmowanie od klientów zleceń co do kupna i sprzedaży, pośrednictwo w zakupie hurtowym wszelkich artykułów, potrzebnych obywatelom ziemskim i kupcom. Będzie to pierwsze tego rodzaju Towarzystwo w Królestwie. Kapitał wynosi 100,000 rs., na pierwszem jednak zgromadzeniu uczestników postanowiono w razie potrzeby sumę podwoić, magazyny rozszerzyć, a nawet samo przedsiębiorstwo zamienić na Towarzystwo akcyjne. Uczestnikami, oprócz ziemian, są także wybitniejsi w gub. Lubelskiej przemysłowcy i kupcy. Do zarządu wybrani: pp.: Władysław Skibiński (dotychczasowy kierownik Domu rolniczego lubelskiego), Józef Żelisławski (dyrektor zarządzający fabryki cementu „Firlej“), Edward Krauze (przemysłowiec); na zastępców pp: Ignacy Budny (obywatel ziemski i przemysłowiec), Teofil Ciświcki (adwokat, obywatel ziemski); do komisyi rewizyjnej obywatele ziemscy pp.: hr. Edward Scipio, Antoni Swinarski i Romuald Nowakowski.

Łódź. Grono nauczycieli młodszych przy szkołach łódzkich początkowych przed kilku tygodniami zwróciło się do magistratu z prośbą o podwyższenie im pensyi. Magistrat odmówił, pomimo że warunki tych pracowników są bardzo ciężkie. — Zatwierdzono ustawę kasy wzajemnej pomocy lekarzy łódzkich. — Zarząd Towarzystwa akcyjnego wyrobów tkackich „Heinzel i Kunitzer“ w Widzewie, jak donosi *Goniec Łódzki*, zamierza założyć czytelnię dla robotników. — Projekt ustawy Towarzystwa dobroczynności dla Żydów w Łodzi ministeryum spraw wewnętrznych zwróciło do rządu gubernialnego piotrkowskiego z poleceniem dokonania pewnych zmian i uzupełnień.— Na posiedzeniu sekcyi technicznej, pod przewodnictwem wice-prezesa p. Ignacego Bendetsona, rozważano projekt kąpieli robotniczych, opracowany przez komitet hygieniczny Towarzystwa lekarskiego. Zapadła uchwała, ażeby przejrzenie projektu, oraz wypracowanie kosztorysu kąpieli powierzyć komisyi, do której z pośród członków sekcyi wybrano pp. Arkuszewskiego, Sokołowskiego, Wagnera, Służewskiego, Koźmińskiego i Rosenthala. Komisya ta ma złożyć w ciągu 4-ch tygodni szczegółowy kosztorys kąpieli ludowych dwojakiego typu: 1) dla fabryk większych i 2) mniejszych. Po rozważeniu na zebraniu ogólnem pracy komisyi kosztorys odesłany będzie komitetowi hygienicznemu Towarzystwa lekarskiego. Na temże posiedzeniu urządzono zaprowadzić w sekcyi szafkę posad technicznych i kandydatów na nie. W tym celu poszukujący pracy winni złożyć krótki rys życia, świadectwa naukowe i wskazać rodzaj posady poszukiwanej, zarobkodawcy zaś winni określić wysokość wynagrodzenia, czas pracy i rodzaj zajęć. Dane powyższe sekcya będzie umieszczała w osobnej szafce na widok członków.

Grodno Marszałek szlachty gub. Grodzieńskiej, p. Ursyn-Niemcewicz, otrzymał od gubernatora pozwolenie na założenie Towarzystwa rolniczego w Grodnie. W sprawie tej zwołano już posiedzenie, na którem zebrani wybitniejsi ziemianie zapoznali się z celem instytucyi i jej ustawą. Pracą przygotowawczą w sprawie założenia Towarzystwa ma się zająć komisya, w której skład weszli obywatele: pp. Święcicki, Kwieciński, Tenner i Wolmer, pod przewodnictwem marszałka, p. Niemcewicza. Jeden z uczestników zebrania, p. Dziekoński, zaproponował, aby siedzibą Towarzystwa był Białystok, jako miasto handlowe i posiadające dogodną komunikacyę kolejową w kilku kierunkach. Ostateczne postanowienie odłożono do drugiego zebrania, które odbędzie się w Grodnie 27 marca.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Jedna z księgarni warszawkich otrzymała ze stanu Ohio Ameryki Północnej kilkusetrublowe zamówienie na wydawnictwa ludowe i inne.

Szkoły. Rektor uniwersytetu warszawskiego ogłasza, iż stypedyum im. Mikołaja Kopernika rs. 300 w r. b. przyznano p. Władysławowi Smosarskiemu, studentowi II kursu sekcyi matematycznej wydziału przyrodniczo-matematycznego, ze względu na stopnie celujące przy egzaminie przyjściowym i zadawalającą pracę piśmienną.

— Postanowiono otworzyć w Warszawie korpus kadetów.

— Wyższy instytut rolniczy w Jekaterynosławiu otrzyma dwa wydziały: górniczy i agronomiczny. Szczególna uwaga ma być zwrócona na zajęcia praktyczne. Koszt urządzenia zakładu pochłonie 1,200,000 rs.

— Z polecenia gubernatora kieleckiego utworzono komitet celem obmyślenia środków na pokrycie kosztów urządzenia projektowanej szkoły górniczo-przemysłowej w Kielcach. Na posiedzeniu, odbytem w tej sprawie, inż. Choroszewski oświadczył, że pożyteczną byłaby sześcioklasowa szkoła realna ze specyalnym kierunkiem górniczym, zwłaszcza ze względu na przyszłą politechnikę w Warszawie. Mamy sześć szkół realnych w kraju i wszystkie są przepełnione.

— Zarząd Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego otrzymał w tych dniach z ministeryum nową ustawę dla kursów praktycznych pszczelnictwa i ogrodnictwa. Ponieważ zawiera ona znaczne poprawdi, więc zarząd wysyła do Petersburga delegata, celem wyjednania zmian, odpowiadających potrzebom. Dopiero w razie ich uzyskania Towarzystwo postanowiło z nowej ustawy skorzystać, pozostawiając do czasu w zawieszeniu całą sprawę.

Sprawy administracyjne Pisma zapewniają, iż przy generał-gubernatorze warszawskim utworzona będzie w porządku prawodawczym stała rada administracyjna pod nazwą *„sowieszczanje,“* w której skład wejdą naczelnicy ważniejszych gałęzi administracyi Królestwa. W kwestyach osobnych do wzięcia udziału w obradach będą powoływani przez generał-gubernatora rzeczoznawcy z głosem doradczym.

Zdrowie publiczne. Gubernator warszawski wydał rozporządzenie, ażeby przy wszystkich rzeźniach prowincyonalnych, w miastach powiatowych i miasteczkach, wprowadzono obowiązkowe badanie przez mikroskop mięsa wieprzowego, celem przekonania się, czy nie zawiera trychin. Oględziny na tych stacyach mikroskopowych będą dokonywane przez weterynarzy nadzorujących oraz ich pomocników lub pomocniczki, na wzór rzeźni zagranicznych. Owe specyaliatki obowiązane będą do składania egzaminów w gubernialnym urzędzie weterynaryjnym i po uzyskaniu świadectwa będą mogły zajmować posady przy stacyach mikroskopowych.

Odczyty popularne. W muzeum przemysłu i rolnictwa rozpoczęła się druga serya odczytów przyrodniczych. Pierwsze dwa wygłosił w ubiegłym tygodniu p. Bronisław Znatowicz „O własnościach ogólnych powietrza,“ następnie dwa p. Napoleon Milicer „O azocie.“ Obaj prelegenci, obok gruntownej wiedzy specyalnej, posiadają dar słowa i umiejętność wykładu przystępnego. Do powodzenia wykładów przyczyniają się świetnie wykonywane doświadczenia. Bilety na miejsca numerowane są bardzo tanie: po 10, 30 i 50 kop.

Koleje i komunikacye. Wkrótce rozpocznie się budowa nowej kolei wązkotorowej z Warszawy (przy rogatce mokotowskiej) do Góry Kalwaryi. Długość całej linii wyniesie 31½ wiorsty. Stacye urządzone będą: w Mokotowie, Wierzbnie, Piasecznie i Górze Kalwaryi. Wybudowanie i umontowanie drogi kosztować ma około 400,000 rs. wraz z kosztem budowy mostu żelaznego na rzece Jeziorce pod Piasecznem. Kapitał akcyjny (po 250 rs.). Przygotowania do budowy już poczyniono.

— Rząd uchwalił budowę kolei od Szepetówki przez Zasław i Starokonstantynów do Płoskirowa. Droga ta z czasem będzie miała wielkie znaczenie, gdy się przedłuży do Kamieńca Podolskiego.

— Pociągi kolei Syberyjskiej kursują już prawidłowo podług rozkładu, zatwierdzonego przez ministeryum komunikacyj, jak wszystkie koleje o ruchu normalnym. W chwili obecnej pociągi od początku kolei Syberyjskiej w Czelabińsku (miasto powiatowe gubernii Orenburskiej, gdzie kończy się kolej Samarsko-Ufimska, a raczej jej gałąź ku Syberyi) kursują bez przerwy na przestrzeni 2,037 wiorst do Krasnojarska. Na przestrzeni tej tylko raz jeden na stacji Ob-Krywoszczekowo trzeba się przesiadać w celu dezynfekowania wagonów po kilkodniowem przebywaniu w nich podróżnych. Na przestrzeni powyższej kolej bierze odpowiedzialność za terminowy przewóz podróżnych podług rozkładu. Od Krasnojarska do Kańska (228 wiorst) pociągi trzy razy na tydzień chodzą, a na Jenisieju pod Krasnojarskiem niema jeszcze mostu i podróżni muszą sami starać się o przeprawę. Za przestrzeń tę płaci się osobną taryfę nieco wyższą, a cena biletów do krańcowego punktu stałej komunikacyi, Krasnojarska, 4,456 wiorst od Warszawy, wynosi w klasie I-ej 56 rs., w kl. II-ej 33 rs. 90 kop., a w kl. III-ej 22 rs. 60 kop.

Wystawy i zjazdy. W Lionie od marca do maja otwarta będzie międzynarodowa wystawa handlu, przemysłu i nowych wynalazków.

— W Wenecyi r. p. otwarta będzie trzecia międzynarodowa wystawa sztuki.

— W zjeździe przedstawicieli szkół przemysłowych, który ma się rozpocząć w Petersburgu 19-go marca, wezmą udział dyrektorowie szkół średnich i niższych technicznych, inspektorowie szkół rzemieślniczych i zarządzający niższemi szkołami rzemiosł.

Poczta. Sprawę budowy gmachu centralnego dla poczty w Warszawie odroczono na czas nieograniczony. Tak więc miasto, liczące 600 tysięcy ludności, będzie i nadal pozbawione urządzeń najniezbędniejszych.

Przemysł i handel. Dzienniki petersburskie donoszą, iż wielkie kopalnie Noblów na Kaukazie mają być sprzedane spółce angielskiej za 60 milionów rubli.

— W Radomiu odbyło się pierwsze zgromadzenie akcyonaryuszów Towarzystwa wyrobów stałowych hr. L. C. Broel-Platera w Bliżynie. Kapitał zakładowy wynosi 1,800,000 rs. (9,600 akcyj).

— We wsiach Krzykowie i Chechło (pow. Olkuski) odkryto pokłady rudy żelaznej.

Zmarli. Aleksandra Borkowska, w Warszawie; długoletnia redaktorka *Kroniki rodzinnej*.

— Mariano de la Paz Graelis, uczony hiszpański w Madrycie, 90 lat. Przez długi szereg lat był profesorem nauk przyrodniczych w barcelońskiem Akademii nauk.

— Andrzej Fredro, w Krakowie, wnuk Aleksandra. Napisał jednoaktówkę, p.t. „Stowarzyszenie kobiet wyższych“, wystawioną przed dwoma laty w teatrze Letnim.

Odpowiedzi Redakcyi.

Stel. „Kitę odwrócić“ — znaczy umrzeć. Myśl więc przysłowia jest przez to jasną.

Sarmatia we Freiburgu. W zeszytach książki tej już nie posiadamy.

Panu S. T. w Rydze. Alboż my posiadamy skorowidz artykułów całej prasy, ażebyśmy mogli wskazać, kto i gdzie pisał o jakiejś książce? Możemy więc Pana tylko objaśnić, że praca ta zawiera więcej fantazyi, niż nauki i, o ile nas pamięć nie myli, nie była współcześnie przedmiotem poważnych rozbiorów.

Pani Dobr. w Łodzi. Warszawa, ulica Niecała, róg Wierzbowej, dom Krasińskiego.

Panu Józefowi S. w Wilnie. Książki tej nie znamy, gdyż jej u nas niema. O ile nam wiadomo, odpowiada ona potrzebom miejscowym.

Panu Z. Drzew. „Kołysanka“ niezrozumiała. „Wyrok“ w pojedynczych wyrażeniach bardzo ładny, ale w całości niejasny. Co znaczą np. słowa: „Lecz świadomość swej woli utraci“? Śmiały tytan? Przytem obrazowanie powinno być wyraźniejsze.

P. S. Win. Nie dla nas.

H. K. 213. Jest to sobie zwyczajne opowiadanie bez żadnej wartości literackiej.

Do dzisiejszego numeru dołączymy Cennik nasion drzew i krzewów leśnych, parkowych i owocowych, zarządu głównego lasów i szkółek w Podzameczu.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 20 Февраля 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.